



Adam Królikiewicz

JASIEK, PICADOR *i ja*

ADAM KRÓLIKIEWICZ

*JASIEK,
PICADOR
i JA*

WYDAWNICTWO



„SPORT

I TURYSTYKA”

WARSZAWA

1 9 5 8

Okladkę projektował
LUDWIK MACIĄG

WYDAWNICTWO „SPORT I TURYSTYKA” —
WARSZAWA 1958

Nakład: 10 272 egz. Ark. wyd. 9, ark. druk. 6,75.
Oddano do składania 13.VI.1958 r. Podpisano
do druku w sierpniu 1958 r. Druk ukończono
w sierpniu 1958 r.

Stołeczne Zakł. Graficzne, W-wa. Zam. 336. A-24

SPIS TREŚCI

JASIEK	5
Z dawnej kroniki sportowej	9
Jasiek i jego przeszłość	16
W nowej służbie	18
Przygotowania do Olimpiady w której nie wzięliśmy udziału	20
Pierwszy publiczny występ i zwycięstwo Jaśka	23
Jasiek powtórny zwycięzcą	27
Jak zostało odkryte nieznane pochodzenie Jaśka i jego wiek	28
Pierwszy raz w Nicei i w Rzymie	29
Druga podróż Jaśka na południe	31
Dalsze podróże Jaśka	33
Jasiek na emeryturze	36
Jasiek po śmierci	41
PICADOR	43
Ślady przeszłości	45
Picador	45
AMERYKA	75
Pierwsza wyprawa jeźdźców polskich za ocean	77
W Antwerpii	79
Na okręcie	81
Nowy Jork	85
Madison Square Garden	89
W dzień zawodów	91
Zawody	93
Puchar Narodów	96
Z wizytą w United States Military Academy	103
Ostatnie dni gościnny	105

PINEROLO I TOR DI QUINTO	107
Trochę o Pinerolo Tor di Quinto i włoskiej szkole	109
Najważniejsze zasoby szkoły	111
Otoczenie szkoły	112
Gdy budzi się dzień	113
Turyn, koń... i mortadella	113
Ekwitacja włoska — system naturalny i dawne klasyczne szkoły menażowe	114
Zwycięstwo systemu naturalnego we Włoszech i jego rozpowszechnienie w innych krajach	118
Jesień w północnych Włoszech	119
Pierwszy śnieg. Żegnaj Pinerolo	120
Konieczność rozdziału ekwitacji Tor di Quinto — wieża piątej mili	121
Discesa — scivolone — ściana płaczu	123
Polowania	125
Campagna Romana	125
Konkursy skoków	126
Czyżby zmierzch?	127
IGRZYSKA OLIMPIJSKIE — BERLIN 1936	129
Ostatni udział polskich jeźdźców w Olimpiadzie berlińskiej — 1936 r.	131

JASIEK

Przez zatłoczone, zalane słońcem ulice, w ogromnym samochodowym ruchu wiecznego miasta Rzymu — mijając Porta Pia — zdążają przez Corso d'Italia ku zacienionym alejom Villi Borghese grupy osiodłanych koni.

Co roku z końcem kwietnia lub między początkiem a połową maja rzymianie i liczni turyści spotykają ten obrazek. Co roku od lat pojawiają się w tym okresie duże, artystyczne afisze z barwnym rysunkiem konia i napisem Roma — Concorso Ippico Internazionale.

Już po raz 26 odbyły się w Rzymie w roku 1957 wielkie międzynarodowe oficjalne zawody konne, ściągające elitę jeźdźców i koni wielu krajów. Flagi narodowe różnych państw powiewają na pierwszorzędnych hotelach oraz u wejść na słynny stadion hippiczny Piazza di Siena, znajdujący się w uroczym zakątku Villi Borghese. Po raz pierwszy po długiej 18-letniej przerwie — w roku 1957 widzimy znów biało-czerwone barwy Polski. W najbardziej upalnych godzinach południa, w trzeciej dekadzie kwietnia, na trasie między rozległymi zabudowaniami Caserma Macao — starych koszar, pamiętających jeszcze czasy panowania króla Emanuela I, obok których w bezpośrednim otoczeniu wiekowych murów i zabytkowych budowli starego Rzymu wyrósł dzisiaj olbrzymi, centralny dworzec kolejowy Stazione Termini, a wzgórzem Monte Pincio i Villa Borghese — posuwa się grupka polskich koni.

Widać u nich brak spokoju i oswojenia z potwornym, nieznanym im ruchem ulicy, którą nieustannie sunie mrowie szybko pędzących i mijających się motorowych pojazdów, niemal prawie ocierających się o wrażliwe końskie boki.

Niektóre konie przerażone uskakują nagle, rzucając się nieprzytomnie pod koła pędzących samochodów. Lśniaca asfaltowa jezdnia jest dla nich czarnym lodowiskiem, od którego choć nie idzie chłód, niemniej grozi niebezpieczeństwo ryzykownych poślizgnięć i upadków przy jakimkolwiek gwałtowniejszym ruchu.

Ostatni raz podobny oddziałek polskich koni przechodził tędy przed (1939) 19 laty, a po raz pierwszy widziano go tutaj znacznie wcześniej, gdyż w roku 1923. Udawał się na stadion Piazza di Siena 35 lat temu tą samą drogą, o tej samej porze roku i dnia. Wówczas wśród koni przybyłych na rzymskie międzynarodowe zawody konne mieliśmy — sami jeszcze tego nie wiedząc — początkującego, lecz wkrótce mającego się wstawić — niewielkiego konika Jaśka i niewiele większego, a jeszcze bardziej — jak się okazało — wybitnego, Picadora.

Konie te wraz z innymi dały wspaniałą początek historii naszego jeździectwa w okresie międzywojennego dwudziestolecia.

O nich będę pisał dla uczczenia ich wielkich zasług dla tych, którym przypadnie honor i zaszczyt reprezentowania naszych barw w kraju i za granicą oraz dla tych wszystkich, którym miłe są konie, nasz sport i sztuka jeździecka, jej odbudowa, rozwój i wielkie osiągnięcia również w zakresie hodowli najpiękniejszego ze zwierząt — k o n i a .

Z DAWNEJ KRONIKI SPORTOWEJ

W początku grudnia 1933 roku, w jednym z warszawskich dzienników Polsce Zbrojnej — oficjalnym wydawnictwie ówczesnego wojska polskiego — ukazała się wiadomość, że w 1 Pułku Szwoleżerów zakończył życie jeden z najstarszych koni, wielce zasłużony i ogólnie znany Jasiek.

Czym zasłużył sobie Jasiek na ten nekrolog?

Wiadomość ta choć krótka, podana w dzienniku, nie zajmującym się specjalnie ani sprawami hodowli konia, ani też sportem jeździeckim — świadczy o pamięci i uznaniu dla tego konia, który — jak dalej zaznacza Polska Zbrojna — pod swoim jeźdźcem rotmistrzem Królikiewiczem, w wybitnym stopniu przyczynił się do wielu naszych sukcesów w międzynarodowych zawodach konnych za granicą.

Jasiek był pierwszy z tych nielicznych koni, które nasze barwy narodowe okryły blaskiem zwycięstw na wielkich, międzynarodowych stadionach Europy.

* * *

Cofnijmy się pamięcią wstecz do lat 1923 — 1939, kiedy to głośne były liczne sukcesy naszych jeźdźców na międzynarodowych torach świata.

W roku 1923 Polacy zjawili się wśród ówczesnych najlepszych jeźdźców kontynentu jako rewelacyjni, groźni współzawodnicy. Walcząc o palmę pierwszeństwa, na najpoważniejszych zawodach w Europie odnosili niejednokrotnie wspaniałe triumfy na głośnych torach Nicei i Rzymu.

Jednym z najbardziej zasłużonych koni sportowych, które w latach 1923—1926 prawie bez wyjątku rekrutowały się z szeregów wojskowych, był stary weteran Jasiek.

Jasiek nie był zwykłym koniem sportowym. Życie jego i przeszłość związane były ściśle z długoletnią służbą w wojsku. Zanim rozpoczął swą błyskotliwą karierę sportową — zdał Jasiek egzamin nie tylko w czasie pokoju, ale również nie jeden raz krew wachał i bagnety. Karta jego służby — to piękne, rzetelne świadectwo żołnierskiego trudu, dowód ogromnej dzielności i zdrowia, to potwierdzenie płynącej w jego żyłach szlachetnej krwi i dobrego rodu.

Jasnogniadej maści, był Jasiek wzrostu średniego. Miał za ledwie 154 cm wysokości. Na niskich, krótkich, dobrze ustawionych nogach spoczywał harmonijnie zbudowany tułów. Ciemna pręga na grzbiecie i mocne związanie dobrze umięśnionego zadu, szeroka i głęboka klatka piersiowa — świadczyły o ukrytej sile i wytrzymałości, o dobrze rozwiniętym sercu i płucach. Na nieco wysoko uniesionej szyi miał osadzoną małą, suchą, szlachetną głowę. Szerokie czoło, wyraźne, nieco wypukłe, o inteligentnym spojrzeniu bystre oczy, ruchliwe uszy, duże rozwarte nozdrza — składały się na całość wybitnie rasowego zwierzęcia. Cienką skórę pokrywał włos miękki, jedwabisty, o złotym połysku. Fantazyjna odsada ogona, ozdobna gwiazdka na czole i biała kokietyryjna chrapka — dopełniały zewnętrznych cech zgrabnego, lecz raczej zdawałoby się damskiego, delikatnego konika. Z charakterystycznych cech budowy wynikało, że w żyłach Jaśka płynęła niewątpliwie znakomita, anglo-arabska krew.

Jeżeli do powyższego opisu dodamy niemniejsze zalety wewnętrzne: rozwagę, łagodny charakter, wesoły i pogodny temperament, łatwo dający się ująć w karby dyscypliny, ambicję, normalną wrażliwość i posłuszeństwo, będziemy mieli w ogólnych zarysach pobieżnie naszkicowany obraz Jaśka w okresie jego świetności i najwyższych osiągnięć sportowych. A nie był już młodzikiem ten koń, gdy po służbie w szeregach i trudach wojennych, w wieku dawno przekroczonej dojrzałości, u schyłku życia przyszło mu staczać, innego rodzaju niż dotąd, ciężkie boje w reprezentacji naszego jeździectwa na licznych stadionach Europy.

Dzięki jego wspaniałym zaletom i ofiarności biało-czerwone barwy Polski ukazywały się niejednokrotnie na masztach w czasie międzynarodowych zawodów konnych. Nierzadko dzięki Jaśkowi tysięczne tłumy publiczności zgromadzone na stadionach Nicei i Rzymu słuchały Mazurka Dąbrowskiego.

Gdy w Rzymie, wczesną wiosną w r. 1923, pod swoim młodym jeźdźcem, porucznikiem 1 Pułku Szwoleżerów — odniósł Jasiek pierwszy sukces o międzynarodowym znaczeniu — zdobywając po ciężkiej walce i dodatkowej rozgrywce drugie miejsce w najtrudniejszym konkursie o Wielką Nagrodę Miasta Rzymu — Grand Premio di Roma — miał już ponad 17 lat. Że nie był to szczęśliwy tylko wypadek, dowiódł tego Jasiek następnego dnia, ustanawiając rekord bezbłędnych skoków i szybkości w ciężkim konkursie myśliwskim Premio Cecilia Metella. Długo, prawie do końca tego dnia utrzymuje Jasiek polską flagę na maszcie przewidywanych zwycięzców. Od rana do zmroku trwa ostra, zacięta walka najlepszych jeźdźców i ponad 160 koni. Kilkudziesięciu doskonałych Włochów, licznie reprezentowani znakomici Francuzi, Hiszpanie, Belgowie, Portugalczycy, Szwajcarzy, Szwedzi — usiłują bezskutecznie zdobyć zwycięstwo. Wreszcie udaje się tego dokonać Belgowi na znanym wówczas, wspaniałym koniu pełnej krwi, Acrobat, który osiąga również bezbłędny wynik w czasie o ułamek sekundy krótszym. Teraz na maszcie powiała flaga Belgii. Zdawało się, że nikomu nie uda się poprawić tego wyniku tym bardziej, że niewiele już koni i zawodników miało startować. Nie mógł też liczyć tu na żadne szanse nieznany dotąd w Rzymie, stawiający swe pierwsze sportowe kroki za granicą, niepozorny Picador. Jego jeździec, choć został pobity przed chwilą na Jaśku, jest nieustępliwy, ma zamiar przy pomocy Picadora przywrócić ponownie pierwszeństwo Polsce.

Czy ta nieznana, debiutująca w Rzymie para młodych zawodników dokona tego? Prawdę powiedziawszy trudno o tym marzyć.

Rekord bardzo szybkiego i zwinnego Jaśka był już mocno wyśrubowany krótkim czasem. Picador natomiast nie ucho-

dził wtedy za konia szybszego od swego starszego o 4 lata kolegi — Jaśka.

Czy woła zwycięstwa, upór i zaciętość w walce, cechy ryzykanctwa, młodości i temperamentu — te atuty, którymi dysponuje wśród groźnych asów jeździectwa jakże skromny w doświadczenie jeździec Picadora — wystarczą, by przeważać jeszcze raz w tym dniu szanse zwycięstwa na korzyść Polaków? Tego nie spodziewał się nikt, lecz iskra nadziei tli w sercu nieznanego na rzymskim torze, młodego polskiego jeźdźca. Gdy dano sygnał partenza ¹⁾, jeździec i koń, wśród pełnego napięcia milczenia tysięcy widzów zgromadzonych na trybunach Piazza di Siena, najspokojniej rozpoczynają swój bieg.

Jak brunatna kula mknie wspaniale, kochane zwierzę po zielonym torze. W zwinnym, szybkim, a jakże ostrożnym locie unyka mu spod nóg przestrzeń między przeszkodami, przez które łagodnie, bez żadnego wysiłku i zgrzytu prowadzi go jeździec. Koń ten jest żywym, precyzyjnym instrumentem. Zdaje się rozumieć, o co toczy się walka — jak wielki jest w niej jego udział. Gdy wśród milczenia i zapartych oddechów widowni skończył Picador bezbłędnie bieg — zrywa się burza oklasków. Na maszcie znów łopocze polska białoczerwona flaga.

Wynik okazuje się o całe 2 sekundy lepszy od dotychczasowego rekordu Belga, którego wspaniały, nieoczekiwany przez nikogo wyczyn Picadora, świetnego następcy Jaśka, przesunął na drugie miejsce.

W rezultacie przez nikogo nie zagrożony Picador do końca utrzymał palmę pierwszeństwa nagrodzoną zaszczytnym pucharem. Jasiak zaś — wysunąwszy się na czoło najslawniejszych koni swoimi bardzo udanymi startami w Rzymie — w tym konkursie musiał się zadowolić zaszczytnym trzecim miejscem.

Tak więc w roku 1923 został zdobyty dla Polski w rzymskim spotkaniu pierwszy międzynarodowy puchar. Byłem szczęśliwy

¹⁾ Rozpoczęcie przebiegu — parcoursu.

i dumny z odniesionego zwycięstwa Picadora i wybitnego sukcesu Jaśka.

Ze Wzgórza Monte Pincio, asfaltowymi alejami Villi Borgese, tłum rozentuzjarmowanej publiczności włoskiej odprowadzał mnie niczym dawnego gladiatora, zegnając okrzykami „bravo Polacco”.

Włosi po pierwszym starcie w ich stolicy uznali mnie prawie za swego. W komunikatach sportowych rzymskiej prasy następnego dnia po wspomniałym sukcesie Jaśka i Picadora ogłoszono, że zwycięstwo w konkursie myśliwskim odniósł tenente (porucznik) Królikiewicz, uczeń słynnych włoskich szkół jeździeckich Pinerolo i Tor di Quinto. Wprawdzie wtedy szkół tych jeszcze nie znałem, ale moi włoscy przyjaciele, wpisując mnie choć nieco przedwcześnie na listę zagranicznych elewów swych renomowanych szkół, mieli jednak dobrze nosa!

W rzeczywistości znalazłem się w Pinerolo i Tor di Quinto w dziesięć lat później, w 1933 roku, mając już stopień majora i głośne w świecie jeździeckim nazwisko. Delegowany do wspomnianych szkół przez Ministerstwo Spraw Wojskowych, spędziłem na stażu u gościnnych Włochów nigdy niezapomniane 6 miesięcy beztróskiego okresu studiów. Mając możliwość zapoznania się jako obserwator z tamtejszymi urządzeniami, terenem, organizacją oraz metodą szkolenia tych słynnych w całym świecie jeździeckich akademii — wyniosłem wiele bardzo cennych doświadczeń, wykorzystanych następnie u nas w polskiej ekwitacji.

Lecz wróćmy do Jaśka, który w następnym roku, niosąc mnie na swym grzbiecie, dokonał czynu niezwykłego i największego w swej karierze sportowej. Oto w Międzynarodowych Wojskowych Konkursach Hipicznych w Nicei w roku 1924, przy licznych udziale jeźdźców różnych narodowości i ponad 130 najwspanialszych koni, Jasiek, ten niewielki wzrostem konik — odnosi niebывały jak na jego możliwości sukces, zdobywając Wielką Nagrodę Miasta Nicei — Grand Prix de la Ville de Nice. Puchar przechodni, szczyt marzeń

najwybitniejszych jeźdźców, dostaje się Polsce. Zwycięstwo to osiągnął Jasiek w wieku lat 18, a więc starczym, równającym się w przybliżeniu wiekowi około 70-letniego człowieka. Zaszczytna, największa indywidualna nagroda dzięki Jaškowi przeszła na rok w posiadanie polskiego Ministerstwa Spraw Wojskowych. Zdobywa ją z kolei w roku 1925 dosiadany przeze mnie młodszy nieco kolega Jaška, cudowne zjawisko — fenomenalny Picador. Jemu, jako jednemu z najślawniejszych koni sportowych świata (w owym czasie), należą się także oddzielne karty najbardziej serdecznych moich wspomnień.

Jasiek i Picador były to bezsprzecznie jedne z najbardziej zasłużonych naszych koni. Były też darem mego losu. Nicea, Rzym, Neapol, Mediolan, Paryż, Fontainebleau, Londyn i Aldershot, Bruksela, Spaa, Berlin i Nowy Jork — to pola sławnych walk, sportowych sukcesów i zwycięstw nie tylko Jaška, Picadora i Cezara. Wspierały je w miarę swych możliwości niezmordowany, trudny do prowadzenia, narowisty, lecz ogromnie śmiały — Jacek dosiadany przez Rómmla, Szoslanda, Dobrzańskiego, Dziadulskiego, Chojeckiego i mnie, precyzyjny w skoku Fagas Kona, żywotny i bardzo sprężysty Generał i Qui Vive Suskiego, Huragan i Kleopatra Rómmla, Zorza Zahorskiego, następnie rekordziści o dużej potędze skoku jak Hamlet i Faworyt Toczka oraz cała stawka koni o karierze może już nie tak błyskotliwej, lecz wykazujących się wytrwałą pracą i doskonałym przygotowaniem, co wyróżniało je ponad inne.

Wszystkie te zacne zwierzęta — to starzy weterani wojenni, zasłużeni wielce w początkach naszego sportu konnego. Pościągane Bóg wie skąd, ze zdemobilizowanych po I-ej wojnie światowej oddziałów austriackich, węgierskich, rosyjskich, francuskich, amerykańskich i kanadyjskich — o nieznanym pochodzeniu, dały ze siebie wszystko, bijąc się dzielnie w polskich barwach z elitą koni wysokiej krwi, pochodzących z najlepszych hodowli niemal całego świata.

Następcami wojennych weteranów, które śladami swoich poprzedników poszły najpierw na Niceę i Rzym, a potem aż

do Nowego Jorku i na dwie olimpiady amsterdamską i berlińską, były w latach 1926—1939 konie: Morinus, Alli i Redgledt Szoslanda, Hannibal Starnawskiego, Donneusse i Rewcliff Rómmla, Dream i Unigeno Królikiewicza, The Hoop, Black-Boy, i Arlekin Roycewicza, Milord Gzowskiego a później Królikiewicza, Warszawianka Gutowskiego, Banzaj i Moja Miła Antoniewicza, Olaf, Duncan i Kik'mora Lewickiego, Zbieg Dziadulskiego, na którym jeździł później J. Komorowski, a następnie Skulicz, Poluś Nehrlicha — Dąbskiego, Reszka i Roksana Ruc'ńskiego, Zuch i Tośka Zgorzelskiego, Nines Strzałkowskiego, Ben-Hur i Abd el Krim Kuleszy, Lwi Pazur Trenkwalda, Bambino Kaweckiego i jeszcze wiele innych bardzo udanych koni. Nie powinniśmy zapominać, że dużą część sukcesów naszych jeźdźców należy przypisać zaletom i ofiarności ich koni. Stąd też prawo Jaśka i jego towarzyszy do zasłużonej pamięci.

Chciałbym więc mówić o Jaśku, o jego bogatym życiu od chwili, gdy los szczęśliwy mnie nim tak hojnie obdarzył, aż po jego zgon. Jasiiek bowiem był nie tylko koniem, który wspaniale rozpoczął nowy rozdział historii polskiego jeździectwa, lecz także tym, który wywarł wielki wpływ na mą karierę jeździecką, a być może i na całe moje życie.

Jemu zawdzięczam w dużej mierze dalsze sukcesy sportowe, barwne przeżycia, wspaniałe emocje, bogate wrażenia. Radosne, ciekawe podróże w nieznaną, dalekie kraje na Jasny Brzeg Riwiery i tylokrotnie oglądanego lazurowego Morza Śródziemnego. Tyrol i Alpy, Wenecja, Florencja, Rzym, Neapol — Capri i Pompeja, Lucerna, Paryż i Fontainebleau, Bruksela i Spaa, Londyn i Aldershot, Berlin, Ryga i Tallin wreszcie podróż przez ocean Atlantycki do Nowego Jorku to najbogatsze moje przeżycia, to szczęśliwe lata młodości z Wami związane drogi mój Jaśku i wspaniałe Picadorze. Nigdy nie będę w stanie spłacić Wam ogromnego długu wdzięczności. Wywołując w pamięci obraz waszych kochanych, miękkich chrzap, czuję ciepło Waszego oddechu, które budzi i ożywia najserdeczniejsze o Was wspomnienia.

JASIEK I JEGO PRZESZŁOŚĆ

Skąd się wziął Jasiek? Jakie było jego pochodzenie? W jakim stadzie urodził się i wychował? Jaka była jego przeszłość, nim jako dojrzały, a nawet mocno już podstarzały, 15-letni koń trafił do mnie? Te ciekawe i ważne szczegóły, mające decydujący niemal wpływ na życie i karierę każdego konia wierzchowego a tym bardziej sportowego, przez długi czas nie były mi znane. Dopiero po upływie paru lat od chwili posiadania Jaśka, przypadek zrzucił, iż otrzymałem na niektóre z tych pytań odpowiedź.

* * *

Jesienią 1918 roku w jednym z ocalałych z pożogi wojennej majątków w rejonie Włodawy nad Bugiem, w dworskiej stajni stały obok siebie dwa, niewielkiego wzrostu, zgrabne konie. Gniady, smukły o prawidłowych liniach wałach i nieco pulchniejszych kształtów zalotna kasztanka.

Lec zrzucił, że w tym właśnie dworze zatrzymał się na postoju jeden z formujących się szwadronów 1 Pułku Szwoleżerów. W owym czasie nasze nowo organizujące się oddziały konne miały duże braki w ludziach, a jeszcze większe w koniach. Każdy dowódca musiał je uzupełniać we własnym zakresie i czynił to oczywiście z miejscowych zasobów. W tym czasie majątki były jedynym, najlepszym źródłem uzupełnienia stanów jakościowych i ilościowych naszych formujących się, licznych oddziałów konnych.

Kto zna choć trochę przyzwyczajenia bractwa koniarzy, ich głęboki sentyment do swych wierzchowców — ten wie, że pierwszą myślą każdego z nich jest zawsze troska o konia. Ona też wiedzie ich nie do salonu choćby pełnego pięknych, pociągających kobiet, lecz najpierw ku stajni. Tu także zgodnie ze zwyczajem udano się tam z pierwszą wizytą.

Trudno kawalerzyście obojętnie przejść obok jakiegokolwiek konia, a cóż dopiero, gdy wygląd jego zdradza nieprzeciętne walory. Łatwo się domyśleć dalszej kolei rzeczy.

Za zgodą właściciela, dziarskiego młodego mężczyzny, wprowadzono ze stajni gniadego, który z miejsca zrobił więcej niż dobre wrażenie, prezentując swe efektowne ruchy. A gdy jeszcze właściciel wyjaśnił, że koń ten jako chory został mu oddany przez jakiś oddział austriackiej kawalerii w zamian za zdrowego — los gniadego został przesądzony. Migiem znalazło się na wozie taborowym zapasowe siodło, zawsze gotowe dla nowego ochotnika.

Musiał gniady już dawniej służyć w konnicy, gdyż poczuwszy na sobie ciężki, żołnierski rynsztunek — nie okazał najmniejszego zdziwienia.

W czasie kiedy siodłano gniadego, wewnątrz stajni rozpaczliwie rżała, rwiąc się za swym miłym towarzyszem, kasztanka. Jej żalosne rzenie ciężką troską zapadło w tkliwe na tego rodzaju objawy przywiązania szwoleżerskie serca. W głowach pod amarantowymi otokami czaiła się nowa myśl. A gdyby tak i drugiego konia...? Bez słów spoglądali wymownie szwoleżerowie na swego dowódcę. Jemu też żal się zrobiło kasztanki. Gniady gotowy już do marszu rzucił spojrzenie w stronę stajni, lecz choć z lubą kasztanką głęboki go łączył sentyment, nie dał się porwać żalowi, nie rozpaczwał jak ona, lecz za nią nie ronił. Strzygąc ruchliwymi uszami, żołnierski już trzymał fason.

Niespokojnym okiem obserwował tę scenę właściciel majątku. Myśli kawalerzystów nie były mu obce. Wiedział już, co grozi jego ulubionej klaczy. Zresztą od chwili zjawienia się w jego domu prawdziwego polskiego oddziału postanowił z miejsca rozstrzygnąć o swoim i klaczy losie.

Panie poruczniku — zwrócił się do dowódcy — wiem, że macie ochotę i na kasztankę. Nie będę jej bronił, lecz razem z nią przyjmijcie i mnie do szwadronu.

Wiwat!!, byczy chłop — zaśmiały się szwoleżerskie gęby, witając radośnie nowych towarzyszy.

A teraz proszę na strzemiennego — zawołał najmłodszy szwoleżer.

I na chrzciny — podchwyciła końska brać.

Wykorzystując sposobną chwilę, staropolskim zwyczajem oblano ją sumiennie, nadając nowym koniom imiona: Jaś i Małgosia.

W NOWEJ SŁUŻBIE

Wzruszające objawy głębokiego sentymentu oraz braterskiego, bezinteresownego uczucia (inaczej zresztą być nie mogło), okazywanego Małgosi przez Jaśka i odwrotnie, ujęły serca wrażliwych na to szwoleżerów. Rozkaz dowódcy postanawiał, by nie rozłączać tej kochającej się pary. Tak oto Jaś i Małgosia mogli nadal być blisko siebie, a chodząc w jednej dwójce szeregu, bok przy boku, strzemię przy strzemienu, znosili cierpliwie z pogodą i kawaleryjskim animuszem dolę i niedolę żołnierskich trudów.

Przy boku Małgosi zaczął Jasiak nowe pełne przygód i nieznanych losów dzieje. Nieobcą mu była żołnierka. O jego przygotowaniu do żołnierskiego życia, do włóczęgi, którą jak się okazało, uprawiał z zamiłowaniem — świadczyło nie tylko zrozumienie karności, posłuszeństwa i porządku, lecz również dokładna znajomość musztry oraz umiejętność właściwego zachowania się i obycia w różnych okolicznościach wojskowej służby, które to zalety nabył poprzednio w szeregach austriackich.

Koń ten miał już wtedy bogatą przeszłość. Widać było, że z niejednego pieca chleb jadł, niejednen w swym życiu ogryzł źłób. Niewątpliwie znał się też na rozmaitych rodzajach broni, w niejednym służył pułku, niejednen kraj przemierzył swymi sprężystymi, pracowitymi nogami, a na swym grzbiecie niejednego nosił jeźdźca. Ślady swej poprzedniej służby w ułanach, huzarach węgierskich, a nawet w artylerii konnej miał wypalone na udzie i na szyi. Choć niedużego wzrostu był bardzo szybki, wytrzymały i dzielny. Dał się łatwo prowadzić. Odznaczał się lekkim, bardzo przyjemnym ruchem. Jednym słowem, okazał się doskonałym frontowym koniem. Toteż w szybkim tempie zaawansował zasłużenie pod siodło dowódcy szwad-

ronu, a gdy ten poległ w bitwie, Jasiek, odprowadziwszy go na miejsce wiecznego spoczynku, dostał się mnie.

Odkomenderowany na skrócony kurs dowódców szwadronów w Starej Wsi pod Warszawą zabrałem tam ze sobą Jaśka. I tutaj, w nowych warunkach surowej dyscypliny, na ujeżdżalni i w terenie, na ćwiczeniach bojowych i w sportowej jeździe, Jasiek okazuje się pierwszorzędnym wierzchowcem. Nie jego było winą, że nosił na swym grzbiecie stosunkowo słabego jeźdźcę. Nie zrażony tym służył mi ofiarnie według swych najlepszych chęci i możliwości. Najlepszym tego dowodem było zdobycie przez nas 4 miejsca w konkursach hippicznych zorganizowanych na zakończenie kursu. Była to w moim życiu pierwsza tego rodzaju zorganizowana i sędziowana przez fachowców impreza sportowa. Startowałem w niej w towarzystwie groźnych współzawodników — dobrze zapowiadających się jeźdźców oraz koni dużo lepszych od mego poczciwego Jaśka.

Niespodziewany dla mnie, a myślę, że również dla moich kolegów, wynik — czwartą nagrodę — zawdzięczam głównie Jaškowi, który zwrócił mi uwagę na swe nowe, ukryte zdolności sportowe w skokach przez przeszkody. Tym bardziej było to zaskoczeniem, że podczas całego kursu instruktorzy nie rokowali mi absolutnie żadnych nadziei na jakiegokolwiek osiągnięcia jeździeckie. Jeżeli czymkolwiek zwracałem ich uwagę, to chyba tylko rekordową ilością upadków, tzw. rozłączeń się z koniem, które wywoływały uśmiech politowania kolegów i instruktorów. Cierpiała z tego powodu moja ambicja i boleśnie nieraz odczuwałem nie tylko upadki z konia, lecz równocześnie uśmiechy i żarty, które przypisywały przyczynę upadków mojemu świeżo zawartemu małżeństwu.

I oto nagle wyczyn kochanego Jaśka odsłania przede mną horyzont nowych możliwości i zainteresowań sportowo-jeździeckich, dając mi zachętę do wytężonej pracy. Dzięki Jaškowi miałem się stać jeźdźcą, który przerósł swe własne ambicje i aspiracje.

PRZYGOTOWANIA DO OLIMPIADY, W KTÓREJ NIE WZIĘLIŚMY UDZIAŁU

Zbliżał się rok 1920. Rozpoczęły się przygotowania do zbliżającej się VII-ej Olimpiady, w której po raz pierwszy mieli wziąć udział polscy zawodnicy. W Warszawie zorganizowano tzw. Olimpijską Konną Grupę Sportową. W jej skład weszli najzdolniejsi jeźdźcy, powołani z różnych pułków kawalerii. Pościągano też z oddziałów co najwartościowsze konie oraz te, które wyróżniły się w eliminacyjnych zawodach, organizowanych w kilku sformowanych wówczas szkołach i kursach jeździeckich.

W tym czasie uważałem się za zupełnie miernego jeźdźca. Nie powstała też w mej wyobraźni myśl, bym mógł się kiedykolwiek w sporcie konnym wybić ponad przeciętność. Lecz ambicją moją był Jasiek, ten Jasiek, który na kursie zajął czwarte miejsce wśród dość poważnych konkurentów. Nurtował mnie żal, że tego nieprzeciętnie zdolnego konia nie zaliczono do grupy olimpijskiej, dając go odpowiednio dobremu jeźdźcowi. Zdaniem moim powinien on być się tam znaleźć. Być może, że jego niewiele mówiący sukces — zdobycie czwartej nagrody, uważano za szczęśliwy przypadek, tym bardziej że siedział na nim tak słaby i niedoświadczony jeździec jak ja — młody podporucznik, nie urodzony ani na koniu, ani nawet obok niego. Jednak już wtedy miałem niczym nie uzasadnione, intuicyjne wyczucie wspólnego losu z Jaśkiem.

Ćwiczenia przygotowawcze ówczesnej grupy olimpijskiej odbywały się codziennie rano na terenach parku Agricola, w pobliżu koszar i placów ćwiczebnych 1 Pułku Szwoleżerów, w którym dowodziłem wtedy szwadronem szkolnym. W chwilach wolnych od zajęć, przez żelazne ogrodzenie przyglądałem się pracy konnej grupy olimpijskiej. Śledziłem uważnie sposób jazdy, dosiada, prowadzenia oraz rodzaj wykonywanych ćwiczeń. Po każdym takim podglądaniu pędziłem do koszar, wyciągałem ze stajni Jaśka, cierpliwą ofiarę moich sportowych uniesień i zapędów, by na dużym placu ćwiczebnym puł-

ku, niestety bez kierownictwa, powtarzać kolejno to samo, co widziałem za oparkaniem Agricoli. W ten sposób obaj z Jaśkiem z dnia na dzień osiągaliliśmy coraz lepsze wyniki.

Wiem dzisiaj, po latach doświadczeń — jak nieogłędnie wówczas z nim postępowałem. Ile żądałem ponad Jąska możliwości i swoje ubogie przygotowanie. Upadki, bolesne potłuczenia, jakie musiały nam się często zdarzać, nie zrażały mnie, przeciwnie wznagały tylko mój upór. Na szczęście Jasiek nie zniechęcał się do swego młodego, narwanego jeźdźca.

Jakże często męczyłem to zacne, kochane zwierzę. Ile razy poobijani, kulawi i sponiewierani wracaliśmy do stajni, liżąc swe potłuczenia. Żal mi było serdecznie Jąska, lecz mój ambitny upór trwał niczym nie zachwiany. Wprawdzie sam również ryzykowałem wiele, czy jednak pytałem Jąska o zgodę na moje szaleństwa i eksperymenty czynione na jego grzbiecie? Czy liczyłem się z jego wolą, wysiłkiem i cierpliwością? Czy zdawałem sobie sprawę, co myśli sobie o mnie ten mały niepozorny konik, którego pchałem w ryzykowne, karkołomne tarapaty? Nie! Tego zupełnie nie brałem pod uwagę. Tak zwykle czynią młodzi ludzie, a niekiedy nawet doświadczeni jeźdźcy. Nie pytając konia o zgodę, odbierają mu prawo do głosu, do odrobiny własnej inicjatywy. Nie zawsze daje to dobre rezultaty. W zaślepieniu wmawiałem w siebie, że mimo to Jasiek sprzyja jednak moim zamiarom. Wybacział mi wszystkie moje zachcianki i bezsensowne głupstwa. Był zawsze łagodny i pełen wyrozumiałości. Kto wie, może to on mną kierował i postanowił zrobić ze mnie jeźdźca o głośnym nazwisku. Inaczej chyba być nie mogło, skoro Jasiek nie buntował się i nie odmawiał swego udziału w pracy tak dziwnej. A jeżeli już czasami oponował, to robił to tak łagodnie, uprzejmie i rozbrajająco, jak gdyby sam mi wskazywał miarę swych możliwości, której nie należało przekraczać. Nigdy też nie tracił wiary, że wreszcie przyjdzie dzień dojrzałości i opamiętania, że zdoła mnie naprowadzić na właściwą drogę i że z czasem zrobi ze mnie jeźdźca. Był nad wyraz cierpliwy.

Jest to wspaniała cecha wszystkich dobrych koni, której ludzie powinni się od nich uczyć.

A ja? W postępowaniu z koniem, w obchodzeniu się z nim — jakże często, jak okropnie błądziłem. Bez doświadczenia i kierunku, bez instruktora, po omacku szukając instynktownie własnych dróg, nie znając wielu tajników i sekretów, wiadomych jedynie rutynowanym, zdolnym jeźdźcom, starałem się narzucić koniowi nie tylko swoją wolę, lecz także nauczyć go oszczędnego dysponowania zasobem sił przy maksymalnych wymaganiach.

Nie miałem wtedy pojęcia o sztuce jeździeckiej ani o działaniu pewnych grup mięśni konia współpracujących lub sobie przeciwdziałających. O systemie nerwowym, odbieraniu i kojarzeniu doznanych wrażeń, o równowadze fizycznej i psychicznej każdego zwierzęcia, a w szczególności konia — niewiele lub nic nie wiedziałem. Pod tym względem byłem surowym, początkującym kandydatem na jeźdźca. Nie orientowałem się, że są to tajniki i zdobycze długich lat doświadczeń i pracy nad ujeżdżaniem i poznaniem charakteru nie jednego, lecz wielu koni. Nie miałem także pojęcia, że wiedzę tę zyskuje się męczącą, cierpliwą pracą, zlaną obficie własnym i konia potem.

Arkana sztuki jeździeckiej obejmują prace nad koniem i jeźdźcem. Opierają się one na głębokiej znajomości i umiejętności postępowania ze zwierzęciem niezwykle czułym na doznawane wrażenia, delikatnym a nade wszystko ogromnie pamiętliwym. Sekret wychowania, ujeżdżenia i tresury konia polega na umiejętnym działaniu człowieka na wyczuloną pamięć konia. Poznawane wrażenia przyjemne czy niemiłe koń łączy w swym mózgu z pewnymi dobrze i długo zapamiętanymi zdarzeniami. Tylko przy bardzo wielkiej cierpliwości i systematycznej pracy oraz wykorzystaniu znajomości przyrodzonych cech konia dochodzi się z nim do pełnego porozumienia. Koń staje się dopiero wtedy zupełnie posłuszny i oddany ślepo jeźdźcowi, gdy nabierze do niego zaufania. Wówczas ulega mu natychmiast, służąc z ochotą i bez zastrzeżeń swymi wspaniałymi, nieocenionymi zaletami, do ostatniego nieraz tchu.

Nie zdawałem sobie sprawy i nawet w najśmielszych marzeniach nie przeczuwałem, że już w krótkim czasie zdobędę złote ostrogi, że moje i Jaśka imię zabłyśnie pod włoskim niebem w Rzymie i że nad lazurowym wybrzeżem Nicei wykwitną zwycięskie biało-czerwone polskie barwy narodowe. Któż mógł się tego spodziewać, że wysiłki kilku nieznanego pochodzenia koni, a w szczególności Jaśka i Picadora, sprawią, że w świecie wysoko ocenią polską sztukę jeździecką, a pierwszy w historii olimpiad brązowy medal dla Polski będzie zdobyty w r. 1924 przez Picadora.

Jak dotąd nic na to nie wskazywało. Nic też nie wróżyło świetnej przyszłości młodemu podporucznikowi, który w godzinach wolnych od zajęć służbowych, nieświadomy jeszcze swych poczynań, namiętnie oddawał się ryzykownym ćwiczeniom.

Obserwowany przez swych kolegów i przełożonych, wzbudzał w nich niewiarę, pobłażliwy uśmiech, a nawet kpiny, gdy uparcie męczył siebie i Jaśka. Jedynym prawdziwym zwolennikiem moich poczynań był wachmistrz, szef dowodzonego przeze mnie szwadronu. Zapalony do sportu, służył mi pomocą w sporządzaniu przeszkód i ich ustawianiu na miejscu ćwiczeń. Poczciwy szef szwadronu wierzył w szczęśliwą gwiazdę swego dowódcy i jego konia.

PIERWSZY PUBLICZNY WYSTĘP I ZWYCIĘSTWO JAŚKA

Na warszawskim torze wyścigowym w pełni lata 1920 roku czyniono przygotowania do pierwszych wielkich pokazów jeździeckich, tzw. konkursów hippicznych. Miał to być tuż przed zakończeniem treningu egzamin konnej grupy olimpijskiej z jej kierownikiem i świetnym jeźdźcem — majorem K. Rómmlem na czele.

Wbrew realnym podstawom zdecydowałem się wystąpić również na tych zawodach oczywiście łącznie z Jaśkiem, a raczej przy jego wybitnym udziale. Był to krok podyktowany wiarą w tego konia, zwykle młodzieńcze nieliczenie się z bezna-

dziejnością uzyskania jakichkolwiek szans. Czekał nas trudny egzamin w konkurencji wytrawnych jeźdźców grupy olimpijskiej, przekraczający moje umiejętności, i doświadczenie. Biorąc to pod uwagę, trzeba stwierdzić, że postanowienie moje było beznadziejnym porywem.

Świadomość walki z naszymi najlepszymi jeźdźcami i końmi, gotowymi do Igrzysk Olimpijskich, powinna wpłynąć na mnie deprymująco. Może jednak dzięki niezdawaniu sobie sprawy z powagi mego zamierzenia, nic podobnego nie odczuwałem.

Na tle ogromnego, zielonego pola mokotowskiego, na niewielkiej przestrzeni, na wprost głównych trybun rozrzucono kilkanaście przeszkód różnego typu, obramowanych kolorowymi proporczykami pułków naszej kawalerii. Długa i kręta trasa przebiegu oraz przeszkody poważnych rozmiarów wymagały od konia dużej odwagi, wysiłku i pewności skoku, zwrotności i posłuszeństwa, a od jeźdźca umiejętności sportowo-jeździeckich, opanowania konia, dużego doświadczenia i rutyny.

Publiczność warszawska, cały świat jeździecki, amatorzy, miłośnicy i sympatycy konia, mającego u nas w owym czasie tak wielkie znaczenie i tradycje — przybyli tego dnia na pierwsze wielkie zawody konne. W loży honorowej przedstawiciele rządu i wojska.

Pośród kilku przewidzianych w programie konkursów skoków przez przeszkody, najcięższą próbą — gwoździem sezonu — był Wielki Konkurs Myśliwski o Nagrodę Naczelnego Wodza, który miał tego dnia własnoręcznie dekorować wstęgą zwycięskiego konia, a jeźdźcowi wręczyć wspaniały puchar. Ustawiony przed lożą honorową błyszczał on w słońcu pogodnego dnia jak klejnot drogocenny, nęcąc swym kształtem oczy wszystkich zawodników, ubiegających się o zdobycie tej największej nagrody.

Ciekawym przyczynkiem do historii konkursów hippicznych w Polsce jest fakt, że w czasie tych zawodów po raz pierwszy i jedyny zastosowano grę w totalizatora. Najniższa stawka wynosiła 10 marek polskich.

W gromadzie koni o wyszukanych, przeważnie cudzoziemskich i wiele obiecujących nazwach — skromny polski Jasiek ze swoim młodym, niedoświadczonym i nie znanym nikomu jeźdźcem nie wzbudzał zaufania ani swym niepokąźnym wzrostem, ani tym bardziej swą zupełnie pospolitą, polską nazwą. Któż mógł liczyć i grać na Jaśka? Jasne, że nikt prócz samego chyba jeźdźca. Mówiono, że nie wypada stawiać na swego konia, że nie jest to przyjęte. Postąpiłem jednak wbrew tym zwyczajom i zaopatrzonego w bilet dosiadłem Jaśka.

Gdy przyszła na nas kolej, odsalutowałem przed lożą honorową i na sygnał trąbki rozpocząłem mój pierwszy publiczny występ na warszawskim torze w konkursach o tak dużym znaczeniu. Szybkim, równym galopem ruszył Jasiek naprzeciw rosnącym mi w oczach przeszkodom. Kładąc się niemal na ostrych zakrętach, ścinając je, łapałem czas. Dzięki Jaśkowi fruwałem ponad licznymi przeszkodami, pamiętając o ich kolejności i trasie dość zagmatwanego biegu. Nie mając wówczas żadnego doświadczenia, instynktownie wyczuwałem jedną z najważniejszych zasad, od której szczególnie u młodych jeźdźców w dużej mierze zależy wykonanie przez konia dobrego i pewnego skoku. Jest nią umiejętność, jeżeli już nie prawidłowego podążania i niespóźniania się za ruchem konia — czego nabiera się z czasem — to przynajmniej nie przeszkadzania mu w skoku. Ta umiejętność znaczy bardzo wiele. Może nawet niekiedy stanowić o zwycięstwie, gdy koń wie, czego się od niego żąda, a jeździec zaufa mu i nie przeszkodzi. Toteż dobre, kochane zwierzę Jasiek — niosąc młodego jeźdźca, zdającego się z pełnym zaufaniem na jego końskie zdolności i inicjatywę — parł wesoło naprzód, bez wahania zostawiając za sobą bezbłędnie przebyte przeszkody. Byłem w jakimś radosnym i beztroskim upojeniu i anim się obejrzał, jak trudny egzamin miałem już za sobą. Ponieważ z dużej ilości jeźdźców i koni, biorących udział w konkursie, podobny wynik osiągnęło jeszcze kilku innych, a między nimi ogólny faworyt na zwycięzcę, znany zawodnik, K. Römmel — zarządcono dodatkową rozgrywkę. Wówczas wspaniały Jasiek, bijąc wszystkich swych

groźnych przeciwników, pokazał lwi pazur najlepszego w tym konkursie skoczka. Udowodnił, swoją nieprzeciętną klasę i wybitne walory, wzbudzając ogólne zainteresowanie i podziw zdumionych znawców sportu hippicznego. Tym wynikiem zaskoczył wszystkich, a najwięcej mnie.

Łatwo sobie wyobrazić, jak serce biło mi z radości i dumy, gdy przy dźwiękach hymnu narodowego odbierałem cenną nagrodę — pamiątkowy puchar, a Jasiiek zaszczytną wstęgę zwycięstwa. Totalizator wypłacił aż 431 marek za 10. Była to druga wielka niespodzianka w związku z nieoczekiwanym zwycięstwem Jaśka nad kandydatami na Igrzyska Olimpijskie. Jak się okazało na nieprzewidzianego zwycięzcę wykupiono tylko dwa bilety. Drugą osobą, która wierzyła w talent Jaśka, był wachmistrz szef mego szwadronu.

* * *

Wojna w 1920 roku zniweczyła udział jeźdźców w Olimpiadzie i wyjazd nasz nie doszedł do skutku. W cztery lata później, gdy Polska po raz pierwszy wysyłała swych przedstawicieli na VIII Igrzyska Olimpijskie odbywające się w Paryżu, miałem to wielkie szczęście i zaszczyt, że udało mi się zdobyć brązowy medal olimpijski, który mnie klasyfikował indywidualnie na trzeciego jeźdźca świata. Dzięki temu po raz pierwszy w dziejach sportu polskiego i w historii olimpiad, na jednym z trzech zwycięskich masztów stadionu w Colombes — wykwitły nasze białoczerwone flagi narodowe. W walce o ten wspaniały, zaszczytny wynik brał udział i dopomógł mi walnie już nie Jasiiek, który wtedy w roku 1924 po zdobyciu Wielkiej Nagrody Miasta Nicei niedomagał, lecz jego nieco młodszy kolega i godny następcą, drugi mój fenomenalny koń Picador.

Wszelako i część tych zasług muszę przypisać Jaśkowi, gdyż jemu przede wszystkim zawdzięczam mój pierwszy wyżej opisany wielki sukces w r. 1920 na warszawskim torze, który z całą pewnością zdecydował o mojej karierze sportowej ze

wszystkimi konsekwencjami w moim późniejszym życiu, pracy i służbie wojskowej. Temu wszystkiemu początek dał Jasiek. On wzbudził we mnie ambicję, skierowując moje umiłowania i wysiłki na drogę jeździectwa. Dzięki niemu odkryłem utajone swe zdolności, które następnie rozwijałem cierpliwie i z uporem. Toteż nie tylko sam talent, lecz właśnie uporczywa, systematyczna praca dała mi później w ciągu wielu lat dużą przewagę nad wieloma moimi bardzo groźnymi współzawodnikami. W ciągu ponad 10 lat utrzymywałem się w wysokiej formie jeździeckiej i sportowej dyscyplinie, odnosząc liczne zwycięstwa w najpoważniejszych międzynarodowych zawodach konnych w walce z elitą jeździecką świata.

Jaśkowi zawdzięczam bogactwo przeżytych, radosnych pełnych emocji chwil, barwnych, niezwykłych wrażeń, które zostawiły trwałe ślad nie tylko w moich osobistych wspomnieniach. Pamięć naszych startów jest dzisiaj jeszcze żywa szczególnie w Nicei i w Rzymie. Świetność jeździectwa polskiego notowana jest na kartach historii rozwoju międzynarodowego sportu konnego oraz w kronikach olimpijskich.

JASIEK POWTÓRNYM ZWYCIĘZCĄ

Mieliśmy z Jaśkiem przedziwne szczęście do najcenniejszych sportowych nagród polskich. Oto bowiem już w następnym, 1921 roku, w czasie wielkich dorocznych konkursów hippicznych urządzanych w Warszawie, po raz drugi zdobywamy: Jasiek piękną wstęgę, a ja drugi z kolei puchar. Po raz wtóry na torze, współzawodnicząc z elitą jeźdźców krajowych, na czele których stał major K. Römmel, oraz dwoma oficerami kawalerii włoskiej, powtarzamy, już teraz nieprzypadkowo, wielki sukces ubiegłego roku.

Tak poczynił sobie Jasiek u progu naszej kariery sportowej, mając za sobą trudy wojenne i około 16 lat życia; to znaczy, będąc w wieku, w którym konie wojskowe obowiązkowo przechodzą w stan spoczynku.

JAK ZOSTAŁO ODKRYTE NIEZNANE POCHODZENIE JAŚKA I JEGO WIEK

Biorąc w roku 1922 udział w zawodach konnych w Piotrkowie, w czasie rozprężania Jaśka, tuż przed startem zauważyłem jakiegoś pana uporczywie i badawczo przyglądającego się nam obojgu. Po pewnej chwili ów pan podszedł do mnie i wskazując na Jaśka powiedział — to przecież jest Mantel. Chcąc go wyprowadzić z błędu wyjaśniłem, że koń mój nazywa się Jasiek, a nie Mantel. Na co usłyszałem odpowiedź.

— Może pan porucznik nazywać go Jaśkiem, lecz ja tego konia doskonale znam i nie mylę się na pewno. W roku 1909 jako oficer 1 pułku austriackich ułanów, w których służyłem, przyjmowałem tego konia, anglo-araba hodowli węgierskiej do wojska jako remonta (młody koń-rekrut) — udzielał dalszych informacji o Jaśku nieznanymi.

— To na pewno Mantel. Zresztą zaraz się przekonamy, musi mieć na szyi znaki.

Istotnie Jasiek miał ich wiele, znacznie więcej, niż to zwykle bywa u konia służącego w wojsku w normalnych, pokojowych czasach. Miał je na lewym udzie, a oprócz tego kilka z nich było ukrytych pod grzywą. Gdy ją odgarnęliśmy, jednym z pierwszych był palony znak podany przez mojego rozmówcę. Ucieszyłem się tą informacją o nieznanym mi okresie życia Jaśka. Jako koniarze uzupełniliśmy sobie luki w kolei losów tego konia. Pozwoliło to na określenie trudnego do ścisłego ustalenia wieku Jaśka, ponieważ tzw. rejestry (wręby na zębach), według których można zorientować się dokładnie o wieku konia do lat 12, były już wszystkie starte. Zatem Jasiek — brany w roku 1909 do wojska w czwartym roku życia — musiał mieć w chwili startu w Piotrkowie siedemnaście lat.

Osobą o tak niezwykłej pamięci był hodowca i wielki znawca koni pan Z. Horodyński¹⁾.

¹⁾ Podczas okupacji niemieckiej cała jego rodzina została w bestialski sposób wymordowana przez Niemców.

Tymczasem Jasiek z dnia na dzień szybko kroczy ku sławie. Wczesną wiosną 1923 roku wchodzimy obaj w skład pierwszej reprezentacyjnej drużyny. Miała ona wraz z trzema jeźdźcami (płk Zahorski, mjr Römmel i por. Królikiewicz) i 9 końmi tak wspaniale zadebiutować na wielkich międzynarodowych wojskowych konkursach hippicznych w Nicei i Rzymie.

Długą, siedmiodniową podróż pociągiem w towarzystwie swego pana znosi Jasiek spokojnie, bez żadnych obaw, fochów i zdenerwowania.

Pociągami towarowymi pędzimy na południe, przez Wiedeń i piękny kraj Tyrolu, pod ośnieżonymi szczytami Alp. Przebijamy się przez góry. Raz po raz wpadamy nagle z jasnego dnia w ciemną noc tuneli, by znowu niespodzianie wystrzelić w słoneczny kraj, dymiącą rakieta czarnego pociągu.

Minąwszy granicę austriacko-włoską w Tarvisio, po trudnościach celnych formalności, skręcamy pod bokiem Wenecji dalej na zachód, wpadając w bajecznie kolorowy świat południa.

Granicą podnóża alpejskich szczytów — dawnego napoleońskiego szlaku, a skrajem Morza Śródziemnego, przez przepiękną Włoską Riwierę wjeżdżamy na jeszcze bogatszą ziemię francuską. Mijamy pola kwiatowe, palmy, gaje oliwkowe i pomarańczowe, ocierając się o dziko rosnące przy torze kaktusy i kolczaste agawy.

Skrajem przepaści kończącej się w błękitie morza, pod przyniatającą masą skalistych szczytów — mkniemy wraz z końmi, rzucani na boki wężowymi skrętami pociągu. Po długiej podróży zbliżamy się wreszcie do Nicei, leżącej w jednym z najpiękniejszych zakątków świata.

Tam Jasiek poznaje się z wielkim światem końskim ze sławnymi już wtedy skoczkami. Ich wspaniałe pochodzenie i fantastyczne ceny są mu obojętne. Nie deprymuje go to spotkanie. Nie uważa się też za gorszego.

Jaśkowi i jego kolegom o tej wczesnej porze dokuczało go-

rać. Nie licząc się z dość niespodziewanym zaproszeniem południowców, nie zdążył całkowicie zmienić zimowego ubrania na nową letnią szatę. Jasiak miał jednak stoicki spokój, którego nic nie było w stanie zachwiać. Z uwagą przyglądał się nowym warunkom, nie tracił animuszu, jadł dobrze i w kolejnych konkursach ostrzył się jak brzytwa. Skubał tu i ówdzie po nagródce i podpatrując końskie asy jeździectwa, szybko zbliżał się do ich wspaniałej kondycji, wrywając im od czasu do czasu niejedną smaczny kąsek. Pomagał mu w tym dzielnie najbliższy jego towarzysz i uczeń Picador. Obaj zdali dobrze ciężki egzamin nicejski, o czym szły do kraju przyjemne telegramy.

Z Nicei pojechał Jasiak bezpośrednio do Rzymu. Wraz z nim udawały się na to międzynarodowe spotkanie konie różnych narodowości. Pod włoskim niebem, w ojczyźnie wybitnych osiągnięć hippicznych i słynnych na cały świat szkół jeździeckich oraz metod przygotowania konia w przebywaniu trudnych przeszkód i terenu — Jasiak z Picadorem, wykorzystując nicejskie doświadczenia, wysunęli się na czoło najlepszych koni.

Po ciężkiej rozgrywce o zwycięstwo w Wielkiej Nagrodzie Miasta Rzymu Jasiak zdobywa pod swym jeźdźcem II-gie miejsce. A gdy w konkursie myśliwskim Premio Cecilia Metella pewne zwycięstwo Jaśka odbiera mu wspaniały belgijski koń Acrobat, wówczas Picador, ratując straconą pozycję Jaśka, bije bezapelacyjnie Belga, odnosząc nad nim i pośrednio nad Jaśkiem piękne zwycięstwo. W ten sposób Polska zdobywa I i III-cią nagrodę. Trzeba tutaj nadmienić, że ani Jasiak, ani Picador jak również reszta naszych koni i jeźdźców nie należeli do stałej grupy reprezentacyjnej tak, jak to było w tym czasie z Włochami, Francuzami, Belgami, Hiszpanami, Portugalczykami, Szwajcarami, Szwedami, Holendrami i Niemcami — w ogóle ze wszystkimi prawie innymi zawodnikami, z którymi spotykali się walcząc o zwycięstwo lub o lepsze miejsce.

Chlubnie spełniwszy swe sportowe zadanie Jasiak i Picador syci chwały, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku re-

prezentowania polskich barw narodowych, wracali do swej normalnej liniowej łuzby w 1 Pułku Szwoleżerów w Warszawie. Od tej pory życie Jaśka i Picadora nie jest bynajmniej ani szare, ani monotonne.

DRUGA PODRÓŻ JAŚKA NA POŁUDNIE

Po raz drugi Jasiiek z Picadorem przejeżdżają znaną drogą Alpy, udając się w 1924 roku ponownie w podróż na Jasny Brzeg Morza Śródziemnego. Nie czeka ich tam jak wielu bogatych ludzi rozkoszne „dolce far niente”, lecz ciężkie prawie dwutygodniowe, pełne napięcia nerwów zmagania.

Czy Jasiiek wie, czy przeczuwa, że tam na słynnym nicejskim hipodromie czeka go największe w życiu zwycięstwo?

Pewnego, szczególnie ważnego dnia zawodów, gdy z pustyni i piasków Afryki przez spienione niespokojne morze przygnał gorący, duszny wichur sirocco, gdy nawet w przyrodzie wśród zwierząt i ptactwa powstała panika, a smutne palmy jeszcze bardziej opuściły swe omdlałe liście, w niesłychanie trudnych warunkach atmosferycznych bije Jasiiek stokilkadziesiąt wspinających koni Europy, zdobywając Wielką Nagrodę Miasta Nicei — Grand Prix de la Ville de Nice.

W towarzystwie generała Władysława Sikorskiego, będącego honorowym gościem na zawodach nicejskich, mer miasta dekoruje Jaśka zwycięską wstęgą, wręczając jego jeźdźcowi wspinały puchar przechodni dla polskiego Ministerstwa Spraw Wojskowych. Ten mały, niepozorny koń, będący u szczytu swej formy, jest już właściwie starcem, gdy, mając ukończonych 18 lat zdobywa się na wyczyn wprost nieprawdopodobny. Tego wysiłku nie będzie mógł już nigdy powtórzyć. Trudne to zadanie pokaże swemu nieco młodszemu koledze Picadorowi, który jak się okaże, nie zawiedzie ani profesora Jaśka, ani swego jeźdźca. W następnym roku Grand Prix de la Ville de Nice zostanie w najcięższym handicapie ¹⁾ zdobyta przez

¹⁾ Handicap utrudnienie wyrównawcze stosowane dla koni za uprzednio wygrane przez nie nagrody.

godnego spadkobiercę Jaśka — fenomenalnego akrobatę Picadora.

Nie zapomnę nigdy dramatycznego momentu w roku 1924 w czasie walki o Wielką Nagrodę Miasta Nicei, podczas pustynnej burzy afrykańskiej, która dosięgła nicejski tor konkursowy. W pewnej chwili gdy miałem już za sobą połowę bezbłędnego przebiegu, nagle zawiodła mnie pamięć.

Nie wiem, na którą z przeszkód mam najechać. Nie przerywając galopu pędzę dalej. Ogarnia mnie rozpacz. Czuję bielmo na oczach — nic nie widzę. Zdaję sobie sprawę, że czas biegnie, że tu odgrywają rolę ułamki sekund. Cały przebieg musi być ukończony w niespełna dwie minuty, a przecież stadion nie jest dużym polem wyścigowym, ani rozległym terenem, bym mógł błędząc jechać w nieznanne. Gdzieś jednak trzeba trafić na właściwą kolejną przeszkodę.

Lecz na którą?

Co tu robić?

Jestem bezradny na oczach tysięcy widzów, wpatrzonych z napięciem wśród ogromnej ciszy w wiele obiecujący przebieg polskiego jeźdźcy. Wszystko rozgrywa się w sekundach — lecz dla mnie są one długimi minutami.

Nagle jakaś przeszkoda wyrasta mi przed oczami. Zbliża się ku mnie gwałtownie. Jest coraz bliżej, dzieli nas jeszcze od niej tylko 2—3 skoki galopu. Wtem ciszę przerywa grzmiący z wielu ust okrzyk a-a-a-...! Uderza to we mnie jak obuchem. Błyskawicznie zrozumiałem, że jeżeli skoczę przez stojącą przede mną przeszkodę, popełnię błąd, który mnie w myśl przepisów jeździeckich natychmiast wyłączy z konkurencji. Okrzyk, który wydarł się mimo woli z ust sympatycznej publiczności, ratuje mnie od niebezpieczeństwa. W ostatniej chwili gwałtownym zakrętem uciekam spod zdradzieckiej przeszkody szukając właściwej. Naraz przejrzałem, rozjaśniło mi się w pamięci i w oczach. Jest, jest, to właśnie ta! Najechałem zdecydowanie, dając Jaśkowi skoczyć. Przeplłynął nad nią w swym lekkim galopie i rwał dalej. Nacisnąłem go łydkami, chcąc łapać utracony czas, nadrobić go zwiększoną szybkość-

cią. Jasiek wyciągnął się jak struna. Zmieściliśmy się w naczyniu normie czasu mimo niepotrzebnego zakrętu, za który obciążono nasz wynik trzema karnymi punktami. Lecz mimo to i tak rezultat nasz był najlepszym osiągnięciem w tym klasycznym, najcięższym konkursie sezonu.

Tak wraz z Jaśkiem bardzo wyczerpani, w gorącym powietrzu sirocca zdobyliśmy w roku 1924 Wielki Puchar Miasta Nicei.

DALSZE PODRÓŻE JAŚKA

Zanim Jasiek przejdzie w roku 1927 w stan spoczynku, wycofując się całkowicie z czynnego udziału w życiu sportowym, będzie jeszcze dwukrotnie biegać na zielonym nicejskim hipodromie, zdobywając laury dla naszych barw.

Jeszcze nie jeden raz odbędzie długą podróż przez wspaniałą Tyrol. Komfortowo, pospieszonymi już teraz pociągami, niezliczonymi tunelami, przebijając masywy szczytów alpejskich, mknąć będziemy znanym nam południowym szlakiem przez Austrię do Włoch i Francji. Gościć go znowu będzie pełne zażytków starożytnej sztuki, wieczne miasto Rzym. Na tle starych murów, wiekowych wysmukłych cyprysów i pinii, amfiteatralny średniowieczny stadion Piazza di Siena położony na terenach Villi Borghese na Monte Pincio — przemówi jeszcze raz wizją dawnej potęgi Rzymu. Księżycową nocą jeszcze dzisiaj snują się tam po arenie cienie gladiatorów, ustępując za dnia miejsca nowej formie walk konnych. W promieniach gorącego słońca tętnią sprężyste kopyta podkutych koni najwspanialszych rodów pod jeźdźcami przeróżnych narodowości.

Między nimi zjawia się dobrze znani rzymskiej publiczności — polski zwycięzca Jasiek i Picador. Konie te ze spokojem i godnością będą przyjmować spontaniczne, huraganowe oklaski pełnej temperamentu i uznania, wysoce sportowej, włoskiej publiczności. O Jaśku mówili tamtejsi bywalcy, że w rękach jego jeźdźca da się zakręcić nawet na soldzie — (małej monecie), a o Picadorze, że „choć brzydki jak tokańskie cygare —

jednak chodzi jak zegarek". Obie te opinie jaką cieszyły się dwa znakomite ulubieńce torów, zwracały na nie oczy i napięcie tysięcznych widzów, gdy przyszła chwila ich startu.

Wygasy od dawna Wezuwiusz, groźny sprawca ruin Pompei i Herculanium, wpatrzony w rozległy, nocą bajecznie kolorowy Neapol — za dnia w żarze upalnego słońca widział rozdęte chrapy Jaśka i Picadora podczas ich udanych startów. I choć upalne dnie łagodził rześki powiew morskiego powietrza, idący od strony Capri, soczyste, pełne chłodnego soku katarskie pomarańcze nie mogły ugasić niestety pragnienia naszych czworonogich towarzyszy. Ten wspaniały owoc południa był przez nie pogardzany. Najbardziej smakowała im zwykła aqua fresca — świeża woda.

Oto dalsze nieznanne przeżycia czekają Jaśka, który wkrótce miał się rozstać ze swoim przyjacielem Picadorem. W Mediolanie czeka go stadion, na który z zawieszonych u sufitu lamp płynie na arenę sztuczne światło. To jakiś dziwny budynek cyrkowy, przypominający krytą ujeżdżalnię grudziądzką, lecz innego, znacznie większego kształtu. To hala sportowa w Palazzo dello Sport, gdzie późnym wieczorem i nocą odbywają się międzynarodowe zawody konne.

Mała przestrzeń bieżni, bliska widownia nabita po brzegi kilkunastotysięczną publicznością, dziesiątki tysięcy oczu ludzkich, trudne, nienaturalne cyrkowe warunki — nie zaskoczą już teraz żadnego z nich podobnie, jak kiedyś, gdy znaleźli się w przepychu i bogactwie światła jeszcze wspanialszej londyńskiej Olimpij. Starego wytrawnego globtrotera Jaśka nie speszzy już nic. Ani stolica świata Paryż, ani mglisty, ogromny Londyn, czy angielski obóz wojskowy w Aldershot, czy wreszcie historyczne Fontainebleau.

W Szwajcarii nad przejrzystymi wodami ogromnego jeziora Czterech Kantonów powita go zielony, czworokątny stadion uroczej cichej Lucerny.

Nad nią od strony południowej, w lustro jeziora, zagląda olbrzymi masyw Pilatusa. Jego wierzchołek nakryty białą czapą śniegu za dnia błyszczy w słońcu lub kryje się w chmu-

rach. A gdy po zapadnięciu zmroku na firmamencie gwiazd-
stego nieba z za zgarbionych pleców Pilatusa wychyli się
uśmiechnięta, pełna twarz księżycy — wówczas rozpoczyna
się uroczyste misterium nocy. Nad rozciągniętymi brzegami lucer-
neńskiej zatoki wykwita chaos kolorowych świateł. Na ciemną
taflę spokojnego jeziora Czterech Kantonów wpływają nie-
wielkie statki oświetlone barwnymi lampionami, pełne roz-
bawionych tańczących par. Do późnej nocy dźwięki orkiestry
docierają do pracowitych Szwajcarów odpoczywających w
swych wygodnych domach, obrosłych mchem zamożności. Peł-
na turystów cicha Lucerna powoli zasypia.

Po wysiłkach i emocjach sportowych, po trudach dnia na
poważnym lucerneńskim hipodromie, w rozkosznej aromacie
górskiego siana, specyficznej woni swoich ciał, w zaciszu sta-
jen, odpoczywały nasze konie. Nakarmione, obrządzone, wy-
masowane fluidem. Ich muskularne ciała drgały od czasu do
czasu w niespokojnym śnie, w którym widocznie jeszcze raz
przeżywały na nowo mniej lub więcej udane przebiegi, mo-
menty galopu, zbliżania się do przeszkody i lotu nad nią.

Jeźdźcy natomiast, szybko zrzuciwszy swe troski na znacznie
większe głowy swych towarzyszy, przebrani w wieczorowe
cywilne lub wojskowe stroje udawali się na prośzone oficjalne
przyjęcia, bale lub umówione dyskretne spotkania. Wracali
z nich późną nocą do swych luksusowych hoteli pełni fantazji,
nowych wrażeń, niezapomnianych przeżyć, niekiedy rozkosznie
znużeni.

Jasiek i Picador czuli się tam świetnie. Upał łagodziło rześ-
kie górskie powietrze i bliskość chłodnego jeziora. Lecz istną
plagą Lucerny były chmury napastliwych olbrzymich much
bardzo zjadliwych. Ukłuciami przebijały Jaśkowi cienką deli-
katną skórę, piły jego krew. Niewiele bały się jego ogona,
którym nie wszędzie mógł dosięgnąć. To go bardzo dener-
wowało.

Picador był w trudniejszej sytuacji. Biedak był kaleką. Nie-
gdyś bardzo dawno, za jego młodych lat, w Ameryce gdzie
się urodził, źli ludzie, nie wiadomo dlaczego i po co, obcięli

mu ogon tak krótko, że nigdy nie odrósł.¹⁾ Nie miał więc czym opędać się od much. Ale Picador nie miał tak cienkiej skóry i nie był tak nerwowy, poza tym niewiele sobie robił z lucerneńskich much i groźnych koni. Te ostatnie rozłożył na obie łopatki wygrywając — Wielką Nagrodę Miasta Lucerny wspinały, kuty w srebrze puchar, który niestety spalił się wraz z innymi pamiątkami w czasie II-ej wojny światowej.

JASIEK NA EMERYTURZE

Stopniowo, nieubłagalnie zbliżał się kres służby Jaśka. Znużony pracą i wiekiem, starszy pan Jan domaga się spoczynku — może jeszcze nawet nie tyle on sam, ile proszą oń zmęczone ściegna jego nóg.

Po trudach żołnierskiej tułaczki, po nadmiernych wysiłkach sportowych — Jasiek otrzymuje w roku 1927 należny mu, wcale nie łaskawy, lecz dobrze zasłużony chleb w 1 Pułku Szwoleżerów w Warszawie, aby zaś nie został przymusowo wybrakowany, jego dotychczasowy jeździec wykupuje go z wojska na własność.

W pierwszym szwadronie — dowodzonym przez swego pana — dostał Jasiek swój cichy własny kątek. Jego wygodny boks udekorowany licznymi, zdobytymi w świecie pamiątkowymi tablicami świadczył o bojach sportowych, w których bądź zwycięsko, bądź z powodzeniem brał udział. Ze względu na swój poważny wiek, przeszłość i zasługi był Jasiek w pułku postacią bardzo godną i ciekawą. Przyjmował — dość zresztą obojętnie — odwiedziny różnych niekiedy bardzo wybitnych osobistości oraz licznych znawców, hodowców i miłośników konia. Zbliżano się do niego i oglądano z zainteresowaniem i należnym mu szacunkiem.

Jasiek odznaczał się zawsze wielką łagodnością, dobrym wychowaniem i dużą kulturą. Na ogół był bardzo towarzyski

¹⁾ Picador był bardzo krótko kurtyzowany. Dawniej było w modzie obcinania chrzęści ogonowej niektórym koniom wierzchowym i zaprzęgowym.

i miły, na starość jednak trochę się zmienił. Miał swoje własne poglądy i niektóre dziwaczne przyzwyczajenia. Między innymi nie znosił okresowych przeglądów koni. Lekarzy weterynarii, bez względu na ich stopień i funkcję, nie darzył sympatią. Ba, widok ich pobudzał go do tępego uporu. Czuł do nich niezrozumiały wstręt, a poznawał z daleka po zapachu jodyny.

Tylko w wyjątkowych wypadkach, czując się bardzo źle, pozwalał tym dobrym ludziom, znawcom niedomagań niemego zwierzęcia, zbliżyć się do siebie, ale tylko dla udzielenia mu pomocy. Najmniej sprawiał kłopotu, gdy przyjmował ich u siebie w boksie, choć czynił to z dużą niechęcią, omal że nie z odrazą. O zaprowadzeniu Jaśka do ambulansu weterynaryjnego nie mogło być mowy. Nie godził się na to nigdy. Do terenu działalności lekarzy weterynarii, na ich podwórko nie zbliżył się za nic. Można było Jaśka spotkać włóczącego się po całym obszarze pułkowych zakamarków i placów, lecz nigdy w pobliżu rejonu ambulansu. Takie już miał uprzedzenie, zresztą niesłuszne, do tej skądinąd ważnej kasty ludzi. Również nie znosił Jasiek, gdy ciekawi jego wieku próbowali się o tym przekonać, zaglądając mu w mocno ze starości wydłużone ku przodowi zęby. Tego nie lubił i gniewał się o to okropnie.

Od czasu gdy Jasiek przeszedł w stan spoczynku, prowadził swobodny, niczym nie skrzepowany tryb życia starego emeryta. Nie miał żadnych obowiązków służbowych, ani zmartwień, ani emocji. Korzystał ze swobody ruchów na całym terenie koszar i placów pułku. W pogodne dni szef szwadronu wachmistrz Harla wypuszczał go ze stajni i Jasiek udawał się w dowolnym kierunku na swój codzienny ranny spacer, na przegląd życia pułku. Na niewielkim placu, otoczonym z dwóch stron stajniami, a z dwóch budynkami koszarowymi, odbywały się w godzinach zajęć ćwiczenia jazdy konnej, ujeżdżanie młodych koni, musztra, woltyżerka, władanie lancą. Cięcia łóz i rąbanie szablą z konia w pełnym galopie, klucie manekinów lancą i szablą, zdejmowanie pierścieni i podobne ćwiczenia białą bronią — napełniały życiem i kurzem w pogodne dni szwadronowe rejonu.

Jasiek przypatrywał się ćwiczeniom rekrutów i młodych koni. Tu miał najwięcej uciechy i fachowych spostrzeżeń. Ze znajomością wysłużonego wojskowego wygi przechodził od plutonu do plutonu, notując w swej pamięci widziane usterki. Gdy obszedł już wszystkie szwadrony — taki bowiem miał ustalony porządek dnia i zwyczaj — resztę wolnego czasu poświęcał beztroskiej włóczędce po ogródkach gospodarstw szwadronowych, gdzie wyjadał co smaczniejsze rośliny, jarzyny, a nawet kosztował niektóre kwiaty. I choć żadnemu koniowi nie darowano by tego, jemu wybryki te uchodziły bezkarnie. Był ulubionym pupilem wszystkich, nietykalnym tabu, był bowiem żywą historią sławy i świetności sportowej pułku — jego bardzo zasłużonym koniem.

Około południa udawał się do jednego ze stawów, znajdujących się tuż za stajniami, by użyć kąpieli, której był wielkim amatorem. Za wodą wprost przepadał. Nęciła go nawet każda powstała po deszczu kałuża. Była to namiętność Jaśka znana dobrze szefowi szwadronu. Dlatego też szef nie pozwolił wypuszczać Jaśka w dnie podeszczowe ze stajni. Gdy jednak Jaśkowi udało się czasem wymknąć cichaczem z boksu, wtedy czym prędzej kładł się w pierwsze napotkane, napełnione wodą wgłębienie. Wytarzewszy się, utyłany błotem jak nieboskie stworzenie, cicho jak wyczedł, wracał na swoje miejsce ogromnie zadowolony, że mimo pilnowania urządził szefowi psikus a no i sprawił dużo kłopotu z czyszczeniem. Ta namiętność do wody stanie się przyczyną przedwczesnej śmierci Jaśka.

W porze obrokowania Jasiek sam wracał do stajni. Znał dobrze ten najprzyjemniejszy z sygnałów trębacza pułku. Niekiedy odwiedzał i kuchnie żołnierskie. Potrafił wejść po schodach, by zjeść z żołnierskiej menażki zupę, a nawet zagryźć mięsem. Wszyscy rekruci już w kilka dni po przybyciu do pułku znali Jaśka. Częstowali go czym mogli — najczęściej chlebem, oglądali z zaciekawieniem, opowiadając sobie o nim przeróżne prawdziwe i zmyślane historie.

Tak przyszyły lata zupełnej starości, a wraz z nimi zachodziła w wyglądzie Jaśka wielka zmiana. Na zimę obrósł niezwykle

długim, puszystym jak wełna włosom i sierści tej nie zmieniła już nawet podczas upalnego lata. Mądra, gniada głowa posiwiała, urosły Jaškowi srebrzyste bokobrody, wydłużyły się szczęki, zapadły oczodoły. Coraz bardziej chylił się ku ziemi, zmalął, zapadł się w grzbiecie i mocno zdziwaczał.

Ruszał się już wolno, dostojnie i ostrożnie. Czasem tylko pozwolił sobie na niewielki kawałek drobnego kłusa, o galopie — tym radosnym chodzie — zapomniał. Dawnym zwyczajem krążył jak cień po zakamarkach koszar, szukając już raczej samotności. Gdy był na placu ćwiczeń, przystawał i długo wpatrywał się w jeżdżące plutony, w młode pokolenie kawaleryjskie. Zdawało się, że czyni przeglądy, wywołując w swej pamięci wspomnienia dawnych lat — echa swej bujnej niezwykłej młodości.

Wśród innych koni wzbudzał przedziwny szacunek. Żaden z nich nie ośmielił się nigdy znieważyc Jaška ani zębami, ani kopytem. Widać i w końskim społeczeństwie istniało niepisane prawo i uznanie dla jego siwych włosów i sławy.

Pod koniec swego życia zapadł się i obniżył jeszcze bardziej. Nikt już nie poznałby w tym koniu dawnego, kształtnego Jaška, wielokrotnego zwycięzcę o międzynarodowym rozgłosie. Gdy nieraz wieczorem wyłaniał się w zmroku, cichym wolnym krokiem dążąc do stajni, robił jakieś niesamowite wrażenie leśnego końskiego ducha. Obrośnięty długim, gęstym włosom, pokryty nim niby mchem stuletnim, niczym nie przypominał dawnego smukłego Jaška. Był raczej jego widmem.

Lecz w Jaškowej głowie wciąż tkwiły wspomnienia dawno zbiegłych lat. Najpierw jakieś odległe, niejasne wspomnienia wczesnej młodości, beztraska swoboda okresu żrebięcego u boku matki, harce i gonitwy po zielonych łąkach w gromadzie rówieśników. Później wspomnienia okrutnej, bolesnej operacji i całkowita obojętność do płci pięknej. Pierwsze siodło na nietkniętym grzbiecie, człowiek, którego musiał nosić i słuchać. Terenowe jazdy, ujeżdżanie, komendy, ćwiczenia, marsze pod siodłem lekkim i ciężkim, troczonym. Manewry, alarmy, pożogi i bitwy, huk i wybuchy pocisków armatnich, terkot strzałów

karabinowych, natarcia i szarże kawaleryjskie. Rozkosze gonitwy i pędu. Rozdęte chrapy, emocje cwałujących szeregów.

Po wojnie uczono go dziwnej sztuki — niepotrzebnego skakania przez przeszkody, które tak łatwo można było omijać. Zawsze wydawało mu się to bardzo niemądre, bezsensowne, zbyteczne i śmieszne. Długi czas próbował się temu sprzeciwić, nie mogąc pojąć tych pomylnych jeźdźców. Wreszcie zaczął wcale składnie skakać. Stał się posłuszny dziwacznym wymaganiom swego ostatniego pana i jeźdźca, którego polubił. nigdy nie chcąc mu zrobić żadnego zawodu.

— Może jednak z tego smarkacza coś zrobię — pomyślał sobie wtedy stary, mądry wyga Jasiek, a dziś doszedł do wniosku, że mu się ten trud jego życia udał.

Przecież wychyliliśmy się na szeroki, wielki świat. Zwiedziiliśmy dalekie, piękne kraje, zdobywając dla Polski wspaniałe trofea. Na wielkich stadionach Francji, Włoch, Szwajcarii i Anglii podziwiali nas tysiące ludzi.

Od pewnego czasu Jasiek coraz bardziej stronił nie tylko od ludzi, ale też i od koni. Stali mu się jedni i drudzy jacyś obcy, nierealni jak on sam. Tracił apetyt. Wzrok mu zmętniał, oczy mgłą zaszyły. Wyszedłszy na plac, tkwił często i długo w jednym miejscu. Z uniesioną głową, uporeczywie patrzył w dal, na tamten skraj swej ostatniej drogi.

Śmierć Jaśka przyspieszyła jego pasja do wodnych kąpiel. Któregoś zimnego dnia, w początkach grudnia 1933 roku wyszedł Jasiek o zmierzchu ze stajni na wieczorny ostatni swój spacer. Nikt z dyżurnych stajennych nie zwrócił na to uwagi i nie zainteresował się jego długą nieobecnością. Dopiero następnego dnia przy rannym obrokowaniu stwierdzono brak Jaśka. Natychmiast wszczęto poszukiwania i znaleziono go leżącego w płytkim, grząskim stawie tuż za stajnią. Osłabiony, nie mógł prawdopodobnie podnieść się o własnych siłach. W lodowatej wodzie przeleżał biedak grudniową noc, czego nie wytrzymało już, nawet jego końskie zdrowie. Wywiązało się bardzo groźne zapalenie płuc. Odwieziony natychmiast do szpitala łagodnie i bez sprzeciwu przyjął ostatnią pomoc i troskliwą opiekę jed-

nego z najwybitniejszych lekarzy, dr. prof. Kulczyckiego, który niestety nie był już w stanie go uratować. Zasnął w dniu święta pułkowego 9 grudnia 1933 roku w wieku 28 lat.

JASIEK PO ŚMIERCI

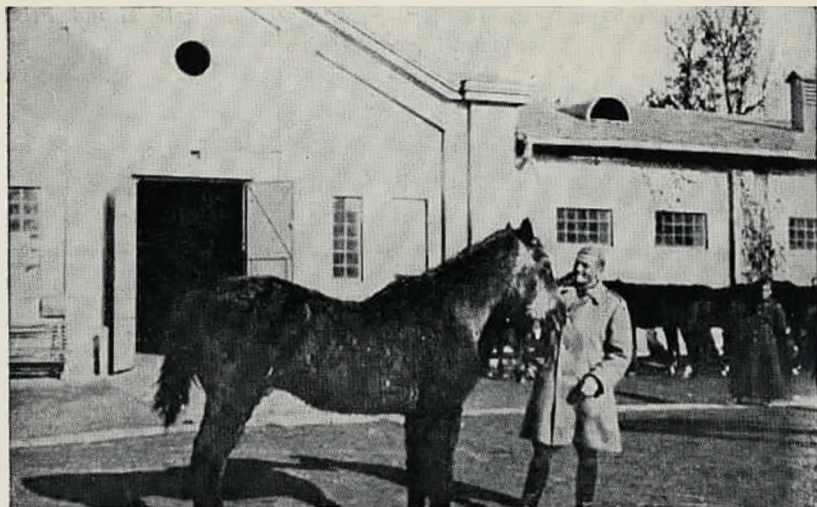
W chwili zgonu Jaśka byłem w północnych Włoszech w słynnej szkole jeździeckiej w Pinerolo pod Turynem, dokąd zostałem delegowany na kilkumiesięczne studia i obserwacje nad organizacją i włoską metodą szkolenia. Moja żona telefonicznie podała mi smutną wiadomość o śmierci Jaśka, zapytując jak ma postąpić z jego zwłokami. Prosiłem o spreparowanie go w całości dla muzeum pułkowego. Niestety, był to duży koszt, na który nie mogłem sobie pozwolić. Zdecydowałem się więc zachować tylko głowę Jaśka wraz z szyją.

Tak też został Jasiek w naturalnym swym wyrazie sporządzony w pracowni specjalnej przy Uniwersytecie Warszawskim i byłby kiedyś zajął należne mu miejsce w przyszłym Muzeum Sportu, którego wtedy jeszcze nie mieliśmy. Na razie głowa Jaśka zdołała mój prywatny sportowy gabinet, pełen licznych nagród i pamiątek —dorobku całego życia mojego i moich koni. Wszystko to wraz z Jaśkiem i przez niego zdobytymi najcenniejszymi nagrodami zginęło bezpowrotnie w ogniu bomb niemieckich 8 września 1939 roku podczas nalotu na Garwolin, dokąd ewakuowano chwilowo Centrum Wyszkolenia Kawalerii, w którym byłem od szeregu lat komendantem Szkoły Jazdy Konnej i ostatnim szefem Ekwitacji.

Po sławnym Jaśku została garść moich nieudolnie ujętych wspomnień, niczym nie spłacony dług i dozgonna dla niego wdzięczność.



Jasiek



Jasiek u schyłku życia

PICADOR

ŚLADY PRZESZŁOŚCI

Gdy przeglądam tu i ówdzie odnajdywane stare notatki, sprawozdania, czy opisy naszych sukcesów jeździeckich w okresie dwudziestolecia niepodległości Polski, czynię to ze szczególnym wzruszeniem. Znajduję tam siebie i wielu moich świetnych kolegów, z którymi już się nigdy nie spotkam, a jednocześnie idzie ku mnie z tych dzisiaj już odległych lat tchnienie naszej młodości tętniące sukcesami wysiłków sportowych. Przesuwają się w pamięci wspomnienia tych, dzięki którym wieńczono nasze czoła liściem wawrzynu. Bez ich jakże często niedocenianego wkładu nie byłoby sukcesów jeździeckich, może nawet nie bylibyśmy jeźdźcami tak wysokiej klasy.

Mało jest koni w świecie, których imiona związane z historią olimpiad notowane są na jednym z trzech pierwszych indywidualnych, zwycięskich miejsc.

Czy my — zawodnicy i miłośnicy sportu konnego oraz sprawozdawcy — nie za wiele, jeżeli nie wszystko przypisujemy wyłącznie jeźdźcowi? Myśl ta nurtuje mnie nie od dzisiaj, lecz od pierwszych już moich sukcesów, a tym bardziej nasuwa się teraz, gdy wspominam nasze najbardziej zasłużone konie, do których po Jaśku należy jeden z czołowych koni świata — olimpijczyk Picador.

PICADOR

Wielkiej sławy i rozgłosu — jeden z najwybitniejszych skoczków świata. Żaden z naszych koni na przestrzeni lat 1923 — 1939 nie przysporzył polskiemu jeździectwu tyle sławy

i rozgłosu. Jasiiek rozpoczął, a Picador rozwinął, utrwalił i uświetnił moją wysoką pozycję w jeździectwie.

Był koniem średniego wzrostu. Mając 156 cm wysokości, był zaledwie o 2 cm rośniejszy od Jaśka. Maści jak tamten gniadej, lecz o odcieniu trochę ciemniejszym. Obie tylne nogi miał w koronkach białe. Na nogach o krótkich i suchych nadpęcinach, zakończonych dobrze sklepionym, małym kopytem, spoczywał dobrze ożebrowany korpus o silnym grzbiecie.

Szeroka pierś, prawidłowo umieszczona długa łopatka i szyja, głowa dość duża o garbonosym czole i nieco schowanych, skośnych oczach. Uszy lekko obwisłe, prawe u szczytu zaznaczone rozcięciem. W spadzistym zadzie o dobrze umięśnionych udach brak było ogona, co jeszcze bardziej wydłużało tylne nogi, czyniąc go w tej partii podobnym do sarny. Picador bowiem był na całe swe życie oszpecony tzw. kurtyzowaniem, dzisiaj już niepraktykowaną na szczęście u nas modą zachodu, polegającym na obcinaniu niektórym koniom chrzęści ogonowej. Na lewym udzie miał ponadto Picador dawno wypalony, z czasem porosły włosiem, znak w kształcie litery A, stanowiący równocześnie początkową literę mego imienia, co poczytywałem sobie za dobrą wróżbę.

Z tego pobieżnego i powierzchownego opisu widać, że Picador pierwotnie zwany Maćkiem pięknnością się nie wyróżniał. Był koniem typu raczej zaprzęgowego niż wierzchowego. Zresztą jak się okaże, takie też było jego przeznaczenie przez pierwsze 10 lat życia. Podobnie jak Jasiiek — miał za sobą służbę wojskową podczas pierwszej wojny światowej. Walczył po przeciwnej stronie bloku Austro-Niemiec, tj. w szeregach armii amerykańskiej we Francji, skąd przybył do Polski w roku 1919 zakupiony wraz z dużą partią innych koni.

Gdy po zakończeniu wojny wrócił Maciek wraz ze swym pułkiem do Warszawy miał lat 12, nienaruszone nogi, dużą odporność i żelazne zdrowie. Był w pełni sił, dojrzałym taborowym koniem.

Pewnego dnia przyglądałem się nowemu koniowi bez ogona, którego dosiadł wachmistrz, szef szwadronu karabinów ma-

szynowych, Jan Żmuda, dobry jeździec, podoficer z byłej austriackiej kawalerii. Próba jazdy nie udawała się. Koń zupełnie surowy i narowisty szalał pod jeźdźcem, niosąc łeb zadarty ku górze.

Wachmistrz walczył z koniem, gdy ten nagle poniósł go wyciągniętym galopem w stronę stajni, przed którą na długiej przestrzeni wbudowane były dwie groźne przeszkody — żelazne bariery do wiązania koni podczas czyszczenia. Mimo widocznego sprzeciwu, jeźdźcowi zapartemu w strzemionach — nie udało się opanować oszalałego zwierzęcia, które nieprzytomnie rwało ku otwartym drzwiom stajni. Spotkawszy na swej drodze dwie żelazne bariery wysokości około 110 cm, koń dwoma dziłkimi susami przeskoczył je i wpadł do stajni. Sytuacja była dość groźna, mogło się wszystko fatalnie zakończyć.

Pobiegłem obejrzeć wierzchowca, który wbrew woli jeźdźca potrafił dać sobie radę z nim i ze stojącymi na drodze jego zamiarów przeszkodami. W stajni zastałem wzburzonego wachmistrza, oklinającego, odpowiednimi słowami spokojnego już i zadowolonego ze siebie Maćka. Przeprowadził on wbrew życzeniom jeźdźca swą wolę, błysnął talentem, a teraz stał spokojnie nie zwracając najmniejszej uwagi na obelżywe słowa, z których nawet najłżejsze jak cholera, bydłę, ścierwo, sakramencka remundo — (od remont — surowy młody — rekrut koński), taki zatracony synie — zdawały się do niego nie docierać. Jedywym, zewnętrznym objawem psychicznego nastroju kłapoucha — Maćka, było nerwowe drganie jego krótkiego ogonka. Ostrzegawczo i niedwuznacznie nastawił szefowi niczym nie okryty swój sprężysty zad gotowy w ostatecznej potrzebie do obrony względnie do przekonywującej odpowiedzi.

Skośne, mądre oczy pod nieco przymkniętymi jakby sennymi powiekami, kryły jednak baczną uwagę. Maciek w tej chwili ważył w swym mózgu ewentualne dalsze zamiary szefa i swoje na wypadek, gdyby zostały w stosunku do niego przekroczone granice słownej interwencji. Obaj poróżnieni znali oczy-

wiecie dobre kawaleryjskie obyczaje, konia jak kobietę, nie bij nawet kwiatem!—

Pan wachmistrz choć wyprowadzony z równowagi — nie zapomniał się. Skończyło się na pogrózkach i serii brzydkich słów. Jego reakcja i zdenerwowanie miały przecież swoje uzasadnienie. Pamiętał znakomicie ujeżdżone, posłuszne konie austriackich ułanów. Oczywiście nie mógł się spodziewać cudu, próbując pod siodłem konia taborowego, ale takiego zachowania się i samowoli konia z jego szwadronu, dyscyplinowany żołnierz, wachmistrz Żmuda, w dodatku ambitny szef szwadronu nie przewidywał. To mu się zdarzyło pierwszy raz.

Było jasne, że z tą chwilą Maciek został wyklęty na zawsze z miłej pamięci szefa i na pewno ziarnka dodatkowego owsa nigdy już nie dostanie. Pomyślałem sobie, że nadeszła odpowiednia chwila, a taki koń to skarb i wielka przyszłość, jeżeli tylko kiedyś dojdziemy do porozumienia. Zaproponowałem panu Janowi zamianę na jednego z koni mego szwadronu. Gdy chętnie na to przystał, sprawę załatwiłem pomyślnie u dowódcy szwadronu i pułku, i tak rozkazem dziennym przydzielono mi Maćka, jako mojego drugiego konia służbowego.

Odtąd los mnie z nim związał. Zacząłem nad nim pracować, poświęcałem mu wolne od służby chwile. Jeździłem dużo, zresztą nie tylko na nim. Rozbudziła się we mnie dzika pasja pracy nad sobą i końmi w kierunku sportowym. Gdy moi koledzy po służbie pędzili do miasta, czy grali w brydża lub bilard w kasynie, gdy wypoczywali w ogródku pułkowym, czy wreszcie jeszcze rano spali, ja szalałem z końmi wyciskając z nich i z siebie siódme poty.

O ile z poczciwym uległym Jaśkiem nie miałem żadnych kłopotów — natrafiwszy na dobry grunt przygotowany jego poprzednią służbą w kawalerii austriackiej — to z Maćkiem sprawa była o wiele trudniejsza. Moja znajomość podstaw ujeżdżania i postępowania z koniem była jeszcze bardzo słaba. Zaledwie liźnąłem tę wiedzę z grubsza po łebkach i raczej teoretycznie. Odczuwałem zupełny brak doświadczenia. Porozumienie z Maćkiem nie przychodziło. Stosunki między nami

były napięte, praca moja nie dawała spodziewanych rezultatów. Ogarniało mnie zniechęcenie. Zrozumiałem, że koń ten postanowił uprzykrzyć mi życie. Ja niekiedy odwdzięczałem mu się tym samym. Nieustępliwie męczyłem jego i siebie.

Najwięcej zatwardziałego uporu okazywał Maciek brakiem uwagi przy skakaniu. Pociągał nogami od niechcenia, robił nawet wrażenie, jakby wytyczył sobie linię postępowania wręcz przeciwną moim zamiarom. W ciągłej niezgodzie i walce mijały dni i tygodnie. Zawziętałem się okrutnie. Staliśmy się sobie wrogami. Maciek miał końskie zdrowie, ja też nie gorsze. Nosił nieprzyjemnie, a pysk miał twardy jak żelazo.

— Chodząc całe życie w zaprzęgu jest zaciągnięty w pysku — mówili starsi koledzy. — Daj spokój, nic z niego nie będzie — radzili inni. A mnie łeb Maćka ciążył setką kilogramów wagi. Prac na wodze masą swego sprężystego ciała, potrafił on jednym ruchem szyi wyciągnąć mnie z siodła lub zwalić na ziemię w chwili najmniej przewidzianej. Wtedy jeszcze nie umiałem się temu przeciwstawić, nie znałem sposobów i chwytów, jakie daje doświadczenie, by konia oduczyć od tych przyzwyczajzeń. Ręce mi mdlały po kilkunastu minutach, wychodząc ze stawów. Zdecydowany dać za wygraną, już chciałem ulc, lecz było mi wstyd wycofać się z tej walki, niczego nie uzyskawszy.

Szereg tygodni trwała cicha, nieustępliwa wojna. Obaj wracaliśmy do stajni okropnie zmordowani. Kończyła się już moja cierpliwość. Miast harmonii — niezgoda, w miejsce przyjemnego wyładowania nadmiaru energii — zmęczenie kroplistym potem spływało nam po oczach i grzbiecie. W owym czasie, w początku mej kariery jeździeckiej, nie zastanawiałem się, co też to niegłupie konisko mogło sobie o mnie pomyśleć. Lecz dzisiaj po latach doświadczeń i pracy nad wieloma końmi, wiem, że nie rodzi się zły koń, to ludzie — których nie można z nim porównać — robią go takim niekiedy.

Mój Maciek, jak się okaże — nie był wcale złym koniem. Miał tylko trochę sprytu i sędzę, że myślał o mnie brzydko, może mniej więcej tak:

— Ciągłe mnie męczysz i każesz mi przeskakiwać przez drągi, mury, rowy i płoty, choć można je bez żadnego wysiłku łatwo ominąć. Jakże jesteś niemądry, że tego ode mnie wymagasz. Masz niedobrze w głowie młody człowieku! Skoczyłem ze Żmudą przez koniowieży, bo chciałem go nastraszyć, a trochę przekonać, by dał mi spokój. Nie mam zamiaru nikogo na sobie nosić. Teraz tyś się na mnie wziął. Siedźże już sobie na mym grzbiecie, gdy ci na nim dobrze, lecz co u icha wyrabiasz ze mną? Dlaczego mnie szarpiesz, wisisz mi a pysku, gnieciesz mi nerki, łydkami naciskasz moje boki?. Mam za sobą wojnę, jestem już dojrzałym koniem, a nikt przedtem, gdy chodziłem w wozie, nie żądał ode mnie czegoś podobnego. Nikt boków moich nie dotykał ostrogami, nie kręcił mną w kółko jak opętany. Wolę ciągnąć nie wiem jaki wóz na froncie, niż w czasie pokoju nosić na grzbiecie wariatów, którzy nie mają nic lepszego do roboty jak stawiać mi na drodze przeszkody. Wiem sam kiedy i jak je przebywać, gdy tego zajdzie prawdziwa potrzeba. Ale tak bez żadnej konieczności — tego nie pojmuję, a przede wszystkim jesteś dla mnie za młody. — Tak mniej więcej myślał Maciek i takie miał poglądy na moje urojone nadzieje zrobienia z niego wspaniałego skoczka.

Któregoś jednak dnia widać coś nowego zaświeciło mu w głowie. — Spróbuję mu raz ustąpić — pomyślał sobie mądry Maciek, wykonując bez wahania z niespotykaną dotąd uwagą i starannością wszystkie ćwiczenia. Natychmiast wyczułem, że przyszła chwila ważna — przełomowa. Zsiadłem niezwłocznie bardzo uradowany miłą niespodzianką. Odprowadziłem Maćka do stajni, ogłaskałem pieścotliwie, mówiłem mu przyjemne słowa, dziękowałem i tuliłem jego sympatyczną mordę. On zaś przymrużył myślące, skośne oczy i opuściwszy prawe rozcięte ucho z zadowoleniem słuchał innych niż dotąd słów.

Kochany Maćku garbonosy, miły kłapouchu czy wiesz, że wkrótce zamienisz się w sławnego Picadora?

Tego jeszcze nie wiedzieliśmy obaj. Stojąc obok siebie w

stajni nie przypuszczaliśmy, że z szeregów 1-go Pułku Szwoleżerów wyjdzie jeden z najświetniejszych koni, który barwy Polski rozślawi zwycięsko na wielkich międzynarodowych stadionach świata i na Olimpiadzie.

W Maćku coś się przekreśliło. Stał się od tego dnia chętny i posłuszny. Czynił postępy wprost zdumiewające — jakby zrozumiałszy swoje powołanie chciał nadrobić dotychczasowe zaniedbania, odzyskać utracony czas, jakby nagle spostrzegł swą przyszłość i karierę, która go czekała już w niedługim czasie i jakby zależała tylko od niego. Z dnia na dzień mięśnie Maćka tężały, rozwijały się utajone dotąd zdolności, kształtował się fizycznie i psychicznie. Stał się łagodnym, bardzo rozważnym koniem, umiejącym oszczędnie, lecz pewnie i z całkowitym, rzadko spotykanym spokojem używać swych środków. Polubił skoki. Przeszkody stały się dla niego przyjemną igraszka, jednak nigdy ich nie lekceważył. Podchodził do nich spokojnie, nie spiesząc się niepotrzebnie i przebywał je bardzo starannie. Nie był już niezgrabnym Maćkiem. Ponieważ wkrótce miał wystąpić przed publicznością zmieniłem mu nazwę. Już od pierwszego startu był frapującym Picadorem.

Odtąd zaczyna się jego wspaniała błyskotliwa kariera. Osiągnąwszy piękną formę sportową, Picador niczym nie przypominał dawnego dzikiego, amerykańskiego mustanga — Maćka. Chód jego i ruchy były lekkie, sprężyste i pewne, harmonizujące ze zgrabną sylwetką zdyscyplinowanego konia wojkowego o wybitnych walorach. Baczny i uważny na każde skinienie swego jeźdźca, stał się czułym, żywym mechanizmem. Byliśmy już zgraną parą ufających sobie wzajemnie przyjaciół i zawodników. Nigdy nie zawiedliśmy się na sobie. Posłuszeństwo i karność nigdy nie była przez Picadora naruszona. Zawsze chętny, gotowy do trudów. Jego uwaga i spokój były bezprzykładne, co łącznie ze zwrotnością uczyniło go z czasem fenomenalnym akrobatą, dając przewagę nad wieloma końmi wielkich rodów i niezwykłych zdolności.

Na taśmie nie tylko mej kariery sportowej, lecz nawet me-

go życia oraz historii polskiego i światowego jeździectwa, przewijać się będzie raz po raz droga memu sercu i pamięci postać Picadora.

Picador! Jakże to wiele wysiłku woli, mięśni i nerwów zgranych w bajecznej równowadze dla osiągnięcia wspaniałych, szczytowych wyników.

Picador, to echa mej świetności, przeżyć i emocji sportowych najwyższego rzędu. Znały go słynne stadiony hippiczne Europy. Poza Warszawą startował wielokrotnie w Nicei i Rzymie — gdzie życie swe zakończył, w Neapolu, w Mediolanie, Lucernie, Paryżu i w Fontainebleau, Londynie i Aldershot w Anglii. Startując w czterech kolejnych latach 1923—1926 na nicejskim torze, zdobył największe nagrody w takiej ilości, że po wspomnianym zwycięstwie w Wielkiej Nagrodzie Miasta Nicei — Grand Prix de la Ville de Nice przy zastosowaniu do niego najwyższego dopuszczalnego w owym czasie handicapu — Picador w myśl tamtejszych przepisów nie miał już więcej prawa startu na nicejskim torze w Międzynarodowych Wojskowych Konkursach Hipicznych. Był to zupełnie wyjątkowy, nigdzie nie spotykany na innych torach, dziwaczny warunek, wykluczający od dalszego udziału w zawodach jednego z najbardziej klasowych koni świata. W historii nicejskich konkursów był to jedyny tego rodzaju przypadek. Żaden z najwspanialszych koni nie osiągnął tam tego skądinąd nonsensownego zaszczytu.

Przynosząc mi tytuł II-go wicemistrza i brązowy medal w skokach przez przeszkody w Nagrodzie Narodów — Prix des Nations na VIII-iej Olimpiadzie w Paryżu w r. 1924, Picador zaklasyfikował się tym samym na trzeciego konia świata, a powinien być drugim. Przez niewybaczalne przeoczenie olimpijskiego jury i naszego przedstawicielstwa Polska straciła wtedy srebrny medal indywidualny, który niesłusznie przyznano Włochom. Świetnemu jeźdźcowi kapitanowi Lequio, z którym niejednokrotnie walczyliśmy o palmę pierwszeństwa w wielu międzynarodowych spotkaniach — została podczas olimpijskiego przebiegu na stadione w Colombe udzielona obca

pomoc przez fotografa, który w pewnym momencie podtrzymał spadającego z konia Trebecco kpt. Lequio, wsadzając go z powrotem w siodło. Według ówczesnych i obecnych międzynarodowych przepisów jeździeckich udzielenie tego rodzaju pomocy wyłącza w danym konkursie jeźdźca całkowicie i bezapelacyjnie.

Stało się to na oczach wielu widzów, lecz najwidoczniej nie zostało zauważone przez jury. Nasze przedstawicielstwo, obecne podczas zawodów — nie interweniowało zupełnie w tej sprawie. Do dnia dzisiejszego nie mogę pojąć, dlaczego z tak lekkim sercem zrezygnowaliśmy ze srebrnego medalu zdobytego dzięki świetnemu wyczynowi Picadora.

Przed wspaniałym startem na olimpiadzie paryskiej w roku 1924, Picador zdążył po drodze odnieść w Szwajcarii nad jeziorem Czterech Kantonów szereg sukcesów, a między innymi zwyciężyć w Wielkiej Nagrodzie Lucerny — zdobywając zaszczytny puchar.

Nieco wcześniej, wiosną tego samego roku, Picador wygrywa w Nicei I nagrodę w drugiej handicapowanej serii konkursu myśliwskiego Monaco oraz I premię za najlepszy wynik obu serii tego konkursu.

W rok później cała sportowa Nicea i jej międzynarodowi goście, odwiedzający Jasny Brzeg Morza Śródziemnego, zdumiewają się niespotykanymi sukcesami polskiego Picadora.

Koń ten przewyższa wszelkie nadzieje wszystkich interesujących się głośniejszymi nicejskimi konkursami hippicznymi. Z całej Riwiery włoskiej i francuskiej, z Genui, Mentony, Monaco, Monte Carlo, — z Ville Franche, Beaulieu i dalej na zachód — z Marsylii nawet Paryża, Madrytu, Rzymu i sąsiedniej Szwajcarii — ściąga tu na wielki mityng jeździecki rok rocznie tysiące ludzi. To świadkowie niebywałych sukcesów naszych jeźdźców i koni. Polska i Picador są na ustach wszystkich zwolenników, miłośników i znawców sportu konnego. Koń ten okazuje się fenomenalnym akrobatą. W tym pamiętnym 1925 roku, w którym na skutek jego wygranych miano go już więcej nie dopuścić do udziału w nicejskich zawodach, w cięż-

kim konkursie dwoma końmi o puchar Księżnej D'Aoste Picador wraz z Cezarem odnoszą piękne, poważne zwycięstwo. Ponadto Picador zdobywa I nagrodę w konkursie Potęgi Skoku i Zręczności — Victoire tzw. Puissance et Adresse; jest trzeci w II-giej serii konkursu myśliwskiego „Monaco”, wygranego przez starszego jego kolegę Jaśka, który za uprzednie wygrane handicapowany jest wagą 80 kg. Picador otrzymuje dodatkową III premię w tym konkursie. Następnie handicapowany za swoje zwycięstwa najwyższym dopuszczalnym ówczesznie stopniem Picador wygrywa przechodni puchar w konkursie o Wielką Nagrodę Miasta Nicei, który zdobyty w poprzednim roku przez mego Jaśka po raz drugi dostaje się Polsce.

Do tego najcięższego konkursu sezonu w r. 1925 zapisano 130 koni zgrupowanych w coraz to wyższe, poważniejsze handicapy.

Już od kilku godzin trwała zacięta walka o najzaszczytniejszą indywidualną nagrodę nicejskich konkursów. Na maszcie zwycięzców, mimo że konkurs nie był jeszcze zakończony, wisiały dwie narodowe flagi, oznaczając wyróżnienie dwóch najlepszych, równorzędnych wyników, belgijska — za wspaniały, rekordowy wyczyn dnia porucznika de Brabanderc na świetnym koniu Periscope oraz polska za indyferentny przebieg mego trzeciego konia Cezara. Gdyby do końca nie nastąpiły żadne zmiany, musiałyby się odbyć między nami dodatkowa rozgrywka, już nie o pierwsze miejsce, które dzieliliśmy *ex aequo*, lecz o przechodni puchar miasta Nicei. Warunkiem nad wyraz ciężkim tego konkursu było trzykrotne zdobycie nicejskiej nagrody honorowej, co przez 16 lat nie zostało przez nikogo z jeźdźców osiągnięte.

Wynik Periscopa i Cezara utrzymuje się do końca. Tylko jeszcze jeden koń mógłby go zmienić. To ostatni w programie dnia, jedyny w najwyższym piątym handicapie startujący Picador.

Po raz piąty podwyższono przeszkody o 20 cm. Rów czterometrowych rozmiarów poszerzono o cały metr. W ciszy pełnej napięcia oczekuje wielotysięczna publiczność zjawienia się na

stadionie, znanego ze swych dotychczasowych zwycięstw, niepozornego, garbonosego — Picadora.

Gdy tego dnia po raz trzeci wyjeżdżałem w tym konkursie, moje kochane „toskańskie cygaro“, jak go żartobliwie nazywała rzymianka — nie okazywał jak zwykle najmniejszego niepokoju. Instynktownie wyczuwał jeden ze swoich wielkich dni.

Jego nozdrza wdychały specyficzną woń południowego morza. Lekko przymkniętymi powiekami osłaniał swe skośne oczy przed blaskiem palącego jasnego słońca.

Gdy wjeżdżałem na stadion z łoży jury wychylił się zaniepokojony a zarazem mocno podniecony przedstawiciel Polski, szef misji. Dziś jeszcze widzę jego sylwetkę, słyszę dopingujące mnie słowa: „Ciężkie ma pan zadanie rotmistrzu — czy da pan radę tym przeszkodom?”

Picador nastawił uważnie swe obwisłe uszy. „Postaramy się pułkowniku jeszcze raz Wielką Nagrodę Nicei zdobyć dla Polski i ty mi w tym pomożesz najmilszy mój kłapouchu” — rzekłem, zwracając się do skupionego jak zwykle Picadora. Na co usłyszałem w odpowiedzi jego ciche zapewnienie. „Nie ma obawy. Jedź śmiało jak zawsze, tylko pilnuj się. Nie zmyl parcoursu, jak ubiegłego roku na Jaśku, nie wybij mnie z tempa. Resztę zostaw mnie”. Po chwili rozpoczęliśmy nasz bieg, by polskie barwy narodowe ponownie, bezapelacyjnie, jeszcze raz w tym dniu umieścić na szczycie masztu zwycięzców. Wreszcie Picador decydująco przyczynia się do polskiego zwycięstwa w konkursie zespołowym o Puchar Narodów, robiąc obydwaj przebiegi bezbłędnie. Za najlepsze rezultaty jego jeździec otrzymuje specjalną, dodatkową nagrodę — puchar.

Oto leży przede mną kilka pożółkłych kart ze sprawozdaniami z konkursów hippicznych, notujących opinie o reprezentacji naszego jeździectwa w latach 1923—1926.

„Rezultaty osiągnięte przez polskich kawalerzystów, zadziwiły świat sportowy, bo cóż to za rzadki gość zatrzepotał na olimpijskim maszcie zwycięzców? Często widziano tam barwy amerykańskie, fińskie, angielskie, francuskie, włoskie.

Co robi ta chorągiew biało-czerwona?

To rotmistrz Królikiewicz nasze barwy narodowe umieścił na olimpijskim maszcie zwycięzców w Paryżu (rok 1924)."

Sprawozdawca nic jednak nie wspomina, że ogromny ten sukces zawdzięczamy w równej mierze Picadorowi.

Dziennik nicejski „Le Petit Niçois” (rok 1925) tak pisze o zwycięstwach polskich jeźdźców.

„Raz jeszcze drużyna polska wyróżniła się i zalsniła największym blaskiem, tak jak to czyniła zresztą od dnia otwarcia konkursów, potwierdzając swą niezaprzeczalną wyższość przez swą postawę i przez równość“...

...“Drugą serię w konkursie o nagrodę Monaco (rok 1925 przyp. aut.) wygrał najlepszy jeździec polski, asów ekipy, sympatyczny rtm. Królikiewicz, który dokonał zdumiewającego wyczynu, jakim było zdobycie pierwszego miejsca na Jaśku, trzeciego na Picadorze i czwartego na jego znanym koniu Cezarze, który już z brawurą zdobył wiele nagród w konkursach“.

Inny dziennik nicejski „L’Eclaireur de Nice” tak pisze o „Prix de Monaco”.

„W tym konkursie triumfuje najlepszy jeździec. Nikogo nie zdziwiło, że przyniósł on świetne zwycięstwo (une eclatante victoire) ekipie polskiej“... Dalej następuje opis przebiegu konkursu, pełen dytyrambów, na cześć naszej jazdy.

Z większym jeszcze entuzjazmem pisze „L’Eclaireur de Nice”, o konkursie dnia następnego o „Grand Prix de la Ville de Nice”, stanowiącym clou mityngu. Po emocjonującym opisie prób, tak kończy.

„Piąty handicap. Rów poszerzony jest o 100 cm, przeszkody podwyższone; parcours staje się bardzo poważny. Jeden koń tylko ma go zaatakować: to zwycięzca zeszłego roku w konkursie Monaco—Picador! Prowadzi go najlepsza szpicrutu starego kontynentu rotmistrz Królikiewicz. Czy pelen blasku jeździec polski zdoła go przebyć? Oto z cudowną łatwością Picador przechodzi po kolei wszystkie przeszkody. Przed trybuną sędziowską jest płot. Przeszkoda rzuca cień.

Zmylony tym Picador strąca poprzeczkę. Ale dalej kończy bez błędu, fruwając ponad drągami, rowami i bankietami. Burza oklasków rozlega się i flaga bialo-czerwona wznosi się na maszt. Gdyby nie ten cień, parcours byłby na pewno bez błędu. Rotmistrz Królikiewicz zdobywa po raz drugi puchar Nicei.“

O tym samym konkursie pisze „Le Petit Nicois”

„Niezrównany jeździec zrobił pierwszy parcours na swym starym Cezarze i zaczął od arcydzieła (*un coup de maitre*), jakim było zakwalifikowanie się *ex aequo* z p. de Brabanderc. Następnie rtm. Królikiewicz zrobił drugi parcours na znakomitym Picadorze, zwycięzcy przeszłorocznego konkursu „Monaco“ oraz tegorocznego konkursu „Potęgi Skoku i Zręczności“ i zdołał zdobyć pierwsze miejsce, dokonując czynu, jaki nie zdarzył się dotąd w dziejach konkursów nicejskich“.

Tak pisano o sukcesach polskich jeźdźców w latach 1924—1926. Jestem zażenowany. Jeżeli mogę coś o tym powiedzieć, to chyba nadmienić tylko, że mój udział nigdy nie byłby tak doniosły w skutkach i nie wywołałby takiego uznania, gdyby nie pomogły mi moje zacne konie: Jasiek, Picador, Cezar i wszystkie, których miałem szczęście dosiadać, odnosząc wraz z nimi sukcesy. Naszym wspaniałym zwierzętom pragnę oddać część ich zasług tak niewspółmiernie wielkich, jakimi były ich praca, wysiłek i osiągnięcia w stosunku do nędznej miarki owsa, garści siana oraz wiecznej niewoli u człowieka, choćby najlepiej obchodzącego się z końmi.

W roku 1926 przed corocznym, tradycyjnym już wyjazdem na międzynarodowe zawody konne do Nicei, Rzymu oraz Neapolu i Mediolanu (ostatnie dwie imprezy nie były przed wyjazdem planowane) — korzystając z przysługującego mi prawa i przepisów wojskowych — wykupiłem na własność mego służbowego konia Picadora. Ze względu na jego zaawansowany wiek, koń ten podlegał już wybrakowaniu. Cena, jaką za niego wypadło mi zapłacić po potrąceniu 10% pełnej wartości za każdy rok jego służby wojskowej, była śmiesznie mała. Wynosiła zaledwie 300 zł i nie była w żadnej proporcji

do wartości tego konia, zważywszy jego przydatność choćby tylko jeszcze przez 2 lata. Na zagranicznej giełdzie koni sportowych — znanych, głośnych szkoczków — nieraz mimo ich poważnego wieku, który wahał się od 12—15 lat, ceny zależnie od stanu zdrowia i formy takich koni były niekiedy bardzo wysokie.

Mój Picador miał już lat 17. Był wprawdzie ciągle jeszcze w pełni sił swych i formy i nic nie wskazywało szybkiego zakończenia jego kariery, lecz w tym wieku u koni jak i u ludzi w wieku lat sześćdziesięciu — bo tylko takie tu można zrobić porównanie — nie wolno już liczyć na wielki i częsty wysiłek. Biorąc to pod uwagę i uwzględniając, że Picador był już tak niezwykle „zagrany”, i że nie wolno mu było startować w międzynarodowych wojskowych konkursach hippicznych w Nicei, która była corocznie głównym celem naszej reprezentacji jako tor doskonale nam znany i dający naszym jeźdźcom i koniom duże korzyści sportowe, musiałem z wielkim bólem serca pomyśleć o ewentualnym zastąpieniu tego niez mordowanego konia innym. Jak i kiedy miało to nastąpić, nie mogłem przewidzieć. Sama myśl o takiej chwili, o chwili rozstania się z Picadorem była niezwykle bolesna, toteż ze względów uczuciowych odsuwałem ją od siebie, wiedząc że będzie to dla mnie bardzo ciężkie przeżycie.

Tymczasem nastąpił wyjazd do Nicei i Rzymu. Picador nie miał wprawdzie prawa startu w nicejskich wojskowych międzynarodowych konkursach, mógł natomiast startować jeszcze na nicejskim torze, w międzynarodowych konkursach dla jeźdźców cywilnych (nie startujących w mundurach wojskowych), bowiem takie konkursy były ujęte również programem tamtejszych zawodów konnych. Mógł też Picador dowolnie startować na każdym innym hipodromie świata, gdyż nigdzie poza Niceą nie wyśniło się nikomu podobnie nonsensowne ograniczenie udziału konia w zawodach. Zabrałem więc ze sobą Picadora, aby wziąć na nim udział w nicejskich konkursach cywilnych, a następnie reprezentować nasze barwy w zawodach rzymskich.

Biorąc udział w konkursach wojskowych na koniach Cezar i Rewcliff — tym razem nie moich, lecz przydzielonych mi do jazdy — jednocześnie w tym samym dniu, przebrawszy się w jeździecki strój cywilny, startowałem na Picadorze w trzech konkursach cywilnych, ciężko handicapowanych, odnosząc jedno zwycięstwo i zajmując dwa czołowe miejsca (II i III).

Ponadto Picador, wypożyczony któregoś dnia amazonce francuskiej, zdobywa I nagrodę i puchar w najcięższym konkursie dla amazoнок, będąc najwyżej handicapowany. Był to pierwszy start Picadora pod obcym, nie znającym go zupełnie jeźdźcem. Po raz pierwszy obserwowałem jego wspaniałą pracę pod kimś innym. Byłem szczęśliwy, gdy Picador dosiadany i prowadzony według moich instrukcji przez młodą amazonkę odniósł nowy, piękny sukces.

W Rzymie Picador ustanawia rekord wygranych nagród. W konkurencji około 200 koni międzynarodowej klasy — jego wyniki są najwyższe, a starty najbardziej emocjonujące. Koń ten zdobywa się na szczytowe osiągnięcia. Tylko mnie jednemu było wiadome, że jest to jego łabędzi śpiew — ostatnie wielkie sukcesy, których już nigdy nie powtórzy. Zwycięstwa i wygrane nie przyszły mu łatwo, lecz nikt z widzów, nikt ze znawców nie mógł tego jeszcze zauważyć. Czuję wyraźnie, gdyż znałem Picadora świetnie od tylu lat, że przekroczył w Rzymie szczyt swojej życiowej kariery. Ten siedemnastoletni wspaniały koń, jakby świadomy wielkiej odpowiedzialności, która na nim spoczywała, i swej wartości, z ogromnym — dotąd przeze mnie nigdy nie wyczuwanym wysiłkiem — utrzymał w Rzymie, który tak go wysoko cenił, do końca swą pozycję konia najwyższej klasy, pełnego sprężystości i świeżości. Nieubłagane zbliżała się ku nam decydująca, niezapomniana, serdecznie bolesna chwila rozstania.

Zwycięstwo Picadora w Nicei pod francuską amazonką i liczne sukcesy w Rzymie wysunęły go jeszcze raz na czoło najlepszych skoczków Europy. Wartość jego była trudna do określenia. Amatorów tego konia było wielu, lecz cena jaką

wymieniłem 5000 dolarów — na owe czasy i nawet na ówczesne stosunki na tamtejszej giełdzie koni sportowych — okazała się nie do przyjęcia. Odstraszyłem nią wszystkich, czując jednocześnie zadowolenie z takiego obrotu sprawy, gdyż myśl świadomego, uplanowanego rozstania się z moim najdroższym wychowankiem i najwspanialszym koniem — była dla mnie nad wyraz przykra.

W czasie rzymskich konkursów zostaliśmy wraz z innymi zagranicznymi ekipami zaproszeni do Neapolu. Starty Picadora nie były już podobne do niedawnych w Nicei i w Rzymie. Chodził zmęczony i niewyraźne, nieczyste miał ruchy, mimo to ciągle jeszcze był uważany za niebezpiecznego konkurenta. Powoli oswoiłem się z niepokojącą myślą o zbliżaniu się kresu jego możliwości, choć nie było to jeszcze tak widoczne.

Pewnego dnia, gdy oczekiwałem mego startu — przypatrując się innym jeźdźcom — zwróciła się do mnie, znana w kołach rzymskich koniarzy, pani Dentice di Frasso, pytając czy nie sprzedałbym jej Picadora. Podałem cenę 4000 dolarów. Rozmowa nasza była krótka, znacznie krótsza niż moje opowiadanie. Ona też za chwilę miała startować. W rezultacie uzgodniliśmy bez targu kwotę 100 000 lirów, sumę na owe czasy niespotykaną za konia, 17-letniego wałacha. Trudno mi było pozbierać myśli w tak ciężkiej dla mnie chwili, decydującej o losie Picadora i moim z nim rozstaniu. Dlatego spieszyłem się, chcąc mieć już raz wszystko za sobą. Pani Dentice wyjęła książeczkę czekową. Drobną ręką wypisała kwotę w dolarach na Banca Comerciale Italiana w Neapolu, wydała czek i podała mi. Przyjąłem go z dziwnym uczuciem ściśniętego z bólu serca. Mój sprzedany Picador nic o tym nie wie. Nic nie wie o tym moja żona, obecna tuż obok w łoży zaproszonych gości. Nie wie o tym doniosłym fakcie jeszcze nikt w świecie jeździeckim. Okropnie ciężka to dla mnie była chwila. W rękę trzymałem ogromną sumę, w piersi biło mi rozdarte bólem serce.

Głos rozsądku przestrzegał mnie — musisz pożegnać się w

ten sposób z koniem, bo jutro, pojutrze może być za późno. Nie dostaniesz za Picadora ani połowy tej kwoty. Nie masz koni. Jasiak już się nie liczy, Picador się kończy. Jeździsz na obcych pożyczonych. Nikt w kraju nie robi ci prezentu nawet z lichego konia. Co sam wypracowałeś to twoje. Jak dotąd miałeś wielkie szczęście. Zanim zrobisz nowego konia, zanim trafisz na prawdziwy talent — miną lata. Czas ucieka, a ty masz prawo i powinność w sporcie jeszcze niejednego dokonać. Dlatego musisz wymienić Picadora na pieniądze, by móc niezwłocznie postarać się o kupno następcy. Chyba że stać Cię na powrót ze sławnym koniem do kraju, gdzie bogaci posiadacze fortun z uznaniem przypatrywać się będą losowi twego Picadora na łaskawym chlebie, który w najbliższych dniach czekał bardzo starego Jaśka.

Sprzedaż Picadora była więc dla mnie koniecznością całkowicie usprawiedliwioną, choć niesłychanie smutną.

Jednym z warunków zastrzeżonych przy sprzedaży konia było zatrzymanie go w mojej dyspozycji aż do zakończenia naszego udziału nie tylko w konkursach neapolitańskich, lecz jeszcze na okres międzynarodowych zawodów w Mediolanie, dokąd za kilka dni mieliśmy się udać.

Drugim — moja prośba, że w wypadku gdyby pani Dentice di Frasso kiedykolwiek zdecydowała się sprzedać Picadora — ja będę o tym powiadomiony jako pierwszy nabywca. Oczywiście ten warunek postawiłem raczej dla uspokojenia mego sumienia. Nikt bowiem nie mógł przypuszczać, że bardzo bogata osoba — posiadaczka muzealnego pałacu, słynnej nad Tyberem leżącej „Villi Madama”, fabryk, majątków, pewnej ilości własnych luksusowych koni i sfory psów myśliwskich — pani hrabina Dentice di Frasso kiedykolwiek będzie zmuszona sprzedać Picadora, jednego z najslawniejszych koni świata.

To wszystko trwało chwilę — parę minut zaledwie. Gdy wszedłem do łóża, by żonie powiedzieć o dokonanej transakcji, byłem błady i bardzo nieszczęśliwy. Poznała natychmiast — zanim się odezwałem — że stało się coś bardzo dla nas

smutnego. Musieliśmy uciec od ludzi, by nie widzieli naszych łez. Wieczorem w hotelu „Santa Lucia”, nie mogąc przełknąć kolacji i znieść bólu serca pełnego Picadora — udaliśmy się do swego pokoju. Noc przepłakaliśmy oboje w nastroju trudnym do opisania. Część mojej duszy oddałem za pieniądze. Nie mogliśmy się z tym pogodzić. Było to przeżycie podobne do straty kogoś bardzo drogiego. Powoli dzień po dniu nasza żaloba zrastała się z nami. Chodziłem przy Picadorze jak zbrodniarz, świadomy swego haniebnego czynu. On również był smutny, przynajmniej w moich oczach.

Tak znaleźliśmy się w Mediolanie w Palazzo dello Sport, gdzie w krytej hali przeważnie późnym wieczorem odbywały się konkursy. Ból mego serca stopniowo się uspokajał. Zacząłem się zżywać z koniecznością oddania Picadora nowej właścicielce. Dzienniki włoskie w sportowych wiadomościach podały informację o kupnie sławnego polskiego Picadora przez p. Dentice di Frasso. Zrobił się huk i szum około tej sprawy.

Na prośbę pani di Frasso zgodziłem się oczywiście bez wahania na jej start na Picadorze w konkursie amazonek. Nowa właścicielka kazała go osiodłać damskim siodłem, gdyż na takim tylko jeździła. Picador nie był nigdy tym sposobem dosiadany. Mógł zrobić w pewnej chwili niespodziankę, gdy zauważy brak z jednej strony łydki jeźdźca. Przestrzegłem przed tym panią di Frasso, która ze zdenerwowania roniła łzy. Uspokoiłem ją zapewniając, że jeżeli pojedzie z pewnym zaufaniem do Picadora dając mu inicjatywę skoku, a pamiętając tylko trasę parcoursu, po której ma go kierować — może mieć duże szanse na wygraną pucharu amazonek. Kochany, zacny Picador i tym razem nie zawodził, przynosząc swej pani pierwsze zwycięstwo.

Tymczasem ze mną i z nim działy się rzeczy dziwne, niepojęte. W naszych startach mediolańskich nic nam nie wychodziło. To już nie był dawny Picador i ja też nie byłem już sobą. Jeździłem na nim zbyt ostrożnie, nie chciałem ryzykować nie swojego już konia, którego miałem oddać po zawodach mediolańskich w stanie nienaruszonym. Byłem psychicz-

nie załamany, co wyraźnie ujemnie odbijało się na mojej jeździe i prowadzeniu wyczutym natychmiast przez konia. Nie wiodło się nam — nic poważnego nie udawało się.

Za część pieniędzy uzyskanych za Picadora kupiłem włoskiego konia Unigeno. Gdyby się coś stało Picadorowi — nie mógłbym już nawet zwrócić pieniędzy. Czułem się fatalnie. Jedynym poważnym sukcesem w Palazzo dello Sport na skalę międzynarodową było moje zwycięstwo w rekordzie wysokości na nowym koniu Unigeno, następnego dnia po jego kupnie. Przy dużej konkurencji specjalistów — w rekordach międzynarodowych na wysokość z Francuzami i Włochami na czele — dwóch polskich jeźdźców na 3 koniach, Toczek na Hamlecie i Faworycie oraz ja na Unigeno po uzyskaniu 2 metrowego skoku wzwyż nie mieliśmy już zagranicznych współzawodników, którzy odpadli. Dla zaoszczędzenia naszych koni zaproponowałem Toczce zaprzestanie dalszej walki i podział nagród ex equo, lecz nie uzyskawszy jego zgody, zmuszony byłem walczyć dalej. Tak doszliśmy do wysokości 2,20 m, Toczek na swoim świetnym Hamlecie, ja na pierwszy raz dosiadanym Unigeno. Faworyt odpadł po 2 metrach. Ostatnia próba skoku na wysokość 2,20 m dała mi zwycięstwo, a Toczce drugie i trzecie miejsce. Tak w roku 1926 został ustanowiony w Mediolanie niepokonyty do dnia dzisiejszego polski rekord skoku wzwyż. Ponieważ organizatorzy międzynarodowych zawodów mediolańskich rzekomo nie przestrzegli w tym rekordzie przepisowej budowy przeszkody — ówczesny, bardzo formalistyczny Polski Związek Jeździecki nie kwapił się o oficjalne zanotowanie tego rekordu w naszych sprawozdaniach. W ten sposób na liście rekordu figuruje dotąd wynik Rómmla 1,97 m, choć już swego czasu doskonały jeździec Peretiátkowicz na Kingu (w okresie przed I wojną światową) osiągnął 2,05 m, lecz wtedy żadne przepisy nie regulowały ściśle rekordów w jeździectwie.

Któregoś wieczora podczas trwania konkursów — przyniesiono nam z kraju pocztę. Interesowały nas wiadomości z Polski i sportowe echa o naszej wyprawie jeździeckiej, obejmują-

jącej swym zasięgiem Niceę, Rzym, Neapol i Mediolan. I oto w Kurierze Warszawskim znalazłem duży artykuł pod tytułem „Picador et Comp.”, który obecnie odszukany w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie podaje w dosłownym brzmieniu:

Kurier Warszawski 18.V.1926

PICADOR et Comp.

NOWY RZYMSKI HIPODROM, VILLA GLORI

Rzym w maju 1926.

„Na tle zielonych wzgórz jaśnieją białe, cienkie sztachety. Słońce świeci jasno, choć nie grzeje; dziwaczna, rozkapryszona wiosna. Tłum na trybunach, tłum przed trybunami: „fine fleur” rzymskiego towarzystwa złożony z najstojniejszych historycznych nazwisk, najpiękniejszych kobiet, najpotężniejszych polityków i finansistów. W loży królewskiej Wiktor Emanuel z córkami: księżną Mafaldą Heską i hrabiną Jolantą Calvi di Bergolo. Brzmia skoczne dźwięki „Marcia Reale”, narodowego hymnu włoskiego, a po nim siedem hymnów narodowych: Polski, Portugalii, Francji, Belgii, Hiszpanii i Szwajcarii. Kolejno prezentują się królowi oddziały narodowe. Podjeżdżają wolno, trójkami, salutują przed lożą monarszą i delilują z powrotem, ustępując miejsca następnym.

Cóż to za ceremonial? To wstęp do najciekawszej rozgrywki tegorocznych konkursów konnych o tzw. Puchar Narodów, przepysznie w złocie cyzelowany, ofiarowany przez Mussoliniego narodowi, którego przedstawiciele przez trzy lata z rzędu zdobędą go w tych największych zawodach, odbywających się rokrocznie w Rzymie.

Skład naszej wyprawy jest świetny. Jedzie Szosland na Morinusie, Toczek na Hamlecie, Królikiewicz na Picadorze. Ci ostatni — jeździec i koń — popularni już tutaj niezmiernie, podziwiani i uznani. Jazdy Królikiewiczza zachwalać nie trzeba. Chłuba nasza, którą przed trzema laty widzieliśmy jako jeźdźca doskonałego, pełnego młodzieńczej fantazji i natchnienia — dziś przedstawia się jako mistrz skończony, świadomy swych środków, panujący nad koniem znakomicie, zrosnięty z nim niemal duszą i ciałem. To też, gdy ukazuje się na torze — szmer zachwytu idzie przez publiczność, a fachowcy pełnymi uznania określeniami stwierdzają niezwykłą jego wartość.

Osobny panegiryk należy się Picadorowi. Nie jest to jedyny koń, na którym jeździ Królikiewicz, jest to jednak najdawniejszy, najzdolniejszy jego wychowanek, który, przyznać należy, zaszczyt przynosi swemu mistrzowi.

Gdy wchodzi na tor spokojnie, skupiony, bez fochów i objawów zdenerwowania — otucha wstępuje w widza: ten nie zawiedzie. Picador wbiega truchtem, z lekka charakterystycznie, z zadowoleniem, pokręcając głową. Jeździec w ostatniej wolnej chwili przed biegiem, zaznajamia go po przyjacielsku z niektórymi najbliższymi przy „starcie” znajdującymi się przeszkodami, pokazując mu co najtrudniejsze. Picador przygląda się każdej z uwagą, po czym słyszę jak mówi do swego pana: „Wszystko w porządku. Możesz być spokojny. Wiem co do mnie należy”.

Roztropnie, w pełni poczucia własnej odpowiedzialności, zajmuje miejsce przed znakiem „partenza” (start). W chwilę potem rozlega się sygnał dzwonka i zaczyna się najpiękniejszy z biegów. Jeździec tu z koniem nie walczy, zwierzęcia nie poskramia, stanowią jedną myśl i wspólny harmonijny wysiłek. Bez trudności, ruchem naturalnym i celowym przesadza najmiłsze zwierzę płoty, bariery, murki i cokolwiek mu ludzka przemysłowość na drodze ustawiła, a robi to z takim wdziękiem, tak rzekłbyś łatwo i bez wysiłku, że zdumienie ogarnia, iż każdy tego nie potrafi. Czemuż to przeszedł na czysto, nie zrobiwszy ani jednej omyłki, gdy poprzednie konie wszelkich narodowości strącały przeszkody jedną po drugiej? Z uczuciem niesamowitej wdzięczności patrzę na bieg Picadora, z gardłem ściśniętym jakimś dziwnym wzruszeniem. Ten koń — to przecież nie jest zwykłe zwierzę, które sobie oto harcuje po łące. On wie, że patrzą na niego tysiące oczu krytycznych, on wie, że musi przejść bez błędu, on wie, że walczy o honor i imię polskiego jeździectwa.

Ten znajda bez rodowodu, wzięty pod wierzch z „taboru” pułkowego, w którym wojnę przesłużył — jak z lubością powtarza jego jeździec — skacze lepiej i pewniej od setek rasowych rumaków, pyszniących się wielkimi koligacjami i wspaniałą budową ciała. Nasz Picador nie jest ładny. Nie obrazi się, gdy mu to powiem. Uroczą młodą rzymianką, śledzącą obok mnie, mówi z pewnym zawodem w głosie: „Ma come e brutto questo cavallo! Pare un sigaro toscano”.¹⁾ Ale od swego towarzysza, bardziej wtajemniczonego w arkana sztuki jeździeckiej, otrzymuje lakoniczną, pełną zachwyty odpowiedź: Quello non cammina come un cavalllocamina come un orologio”.²⁾ Ma rację. Rozumne ruchy zwierzęcia świadczą, iż nie pędzi na oślep, licząc na szczęśliwy traf. Picador nawet natężenie wysiłku stopniuje odpowiednio do trudności przeszkody, i e zadając sobie nigdy niepotrzebnego trudu skoczenia wyżej niż tego dana przeszkoda wymaga. Po prostu jakby świadomie stosował ekonomię w swej pracy, wiedząc, że niepotrzebny wysiłek przy łatwym skoku może się zemścić niemożnością wzięcia trudniejszej przeszkody z powodu przemęczenia. A choć tempo jego biegu było zawsze rekordowe — najszybu-

1) „Jakże brzydki jest ten koń! Wygląda jak tokańskie cygaro”.

2) „On nie chodził jak koń — chodził jak zegarek!”.

sze ze wszystkich dwustu współzawodników w obecnych konkursach — nigdy nie robiło wrażenia dzikiego pędu nieokiełznanej bestii. Jego galop równy, spokojny, a niesłychanie szybki (mimo małego wzrostu konia) — oceniało się dopiero, gdy na tablicy wyników ukazywały się liczby. Oczom się wierzyć nie chciało, tak w biegu Picadora nic nie jest obliczone na tani efekt, na popis. W konkursie o „Puchar Narodów”, gdzie obowiązywało dwukrotne powtórzenie całego przebiegu (parcoursu) dla wypróbowania regularności i wytrzymałości koni, jedynie Picador ze wszystkich 28 najlepszych koni siedmiu narodowości zrobił za każdym razem bieg czysty, bezbłędny. Nie jego też wina, że w rezultacie zajęliśmy drugie miejsce po ekipie włoskiej.

To też takiego brawa „przy otwartej kurtynie” nie dostał żaden z koni, o żadnego też nie ubiegano się tak pożądliwie jak o niego.

Jeźdźcy i zagraniczni handlarze końmi sportowymi po prostu licytowali się w swych ofertach, chcąc skusić rotmistrza Królikiewicza do sprzedania Picadora. Padaly liczby fantastyczne: 80 tysięcy lirów, sto tysięcy... Trzeba jednak z naciskiem podkreślić, że strata, jaką poniosłoby polskie jeździectwo przy takiej transakcji byłaby niepowetowana. Należy mieć nadzieję, że właściciel nie ulegnie wymowie zimnych cyfr. Po pierwsze dlatego, że moralnie nie wolno mu pozbawiać Polski konia tej klasy, konia, na którego miejsce nie mamy żadnego innego. Po wtóre Picador przyniesie mu swymi pięknymi skokami na pewno więcej, niż owe sumy bajoniskie, złożone na kuszące procenty. A sława? A ból rozstania się z takim przyjacielem?

Panie rotmistrzu, melduję posłusznie, że takich strat nie wynagrodzi panu żadne sto ani więcej tysięcy! Więc możemy być spokojni. Picador pozostanie w Polsce i niejedną nagrodę, i niejeden zasłużony liść wawrzynu przyniesie jeszcze swemu panu.

Na zakończenie krótkie dziennikarskie sprawozdanie z rezultatu zawodów.

Dzień pierwszy — „Konkurs Otwarcia”. Na 200 koni drugie miejsce zajmuje Królikiewicz na Picadorze, trzecie Szosland na Hannibalu.

Dzień drugi — „Konkurs Precyzji Skoków”. Na 200 koni pierwszą nagrodę zdobywa Królikiewicz na Picadorze, trzecie Toczek na Hamlecie. Picador znów tym razem był jedynym koniem, który zrobił parcours dwukrotnie bez błędu, powtarzając go w rozgrywce na podwyższonych przeszkodach.

Dzień trzeci — „Konkurs Wytrzymałości”. Picador nie brał udziału. Z polskich jeźdźców Toczek na Faworycie zdobył czwartą nagrodę.

Dzień piąty — „Konkurs Szybkości”. Picador wzięwszy tempo niesłychane, zrzucił przodem podwójną barierę, wskutek czego miał osiem punktów karnych i nie mógł zająć żadnego z pierwszych miejsc. Osiągnął

za to rekord czasu: 1 minuta 26 sekund, gdy czas zwycięzców zaczynał się od 1 minuty 35 sekund. W konkursie tym z Polaków wyróżnił się Antoniewicz na Jowiszu, robiąc czysty parcours i zajmując piąte miejsce.

Dnia następnego w „Konkursie Myśliwskim” doskonale pojechał Szosland, zajmując pierwsze miejsce na Fagasio.

W konkursie skoku na wysokość pięknie zaprezentował się Toczek na Faworycie, skacząc 1.90 m, odpadając dopiero przy skoku na 2 metry.

Wreszcie w ostatnim dniu w konkursie o „Puchar Zwycięzców”, gdzie mierzyło się ze sobą 20 najlepszych jeźdźców Europy, Picador po wspaniałym pierwszym przebiegu na czysto dokonanym w najlepszym czasie (1 minuta 44 sekundy) przy rozgrywce na wszystkich przeszkodach, gdzie decydowała szybkość, bierze znów tempo niebywale i robi parcours w 1 minutę 25 sekund. Niestety, szybkość ta powoduje, iż zrzuca jedną cegłę na murku i zamiast pierwszego — zajmuje w ogólnej klasyfikacji drugie miejsce. Trzecie zdobywa Szosland na Fagasio o dziesięć sekund powolniejszym od Picadora.

Reasumując rzymskie zawody, zaznaczyć trzeba, że jeźdźcy nasi spisaliby doskonale, zdobywając pokaźną ilość nagród w zawodach nadzwyczaj poważnych, walcząc z przeciwnikami bardzo groźnymi i doświadczonymi. Rekord wygranych nagród — spośród wszystkich jeźdźców biorących udział w tej imponującej imprezie — przypadł tutaj znowu rotmistrzowi Królikiewiczowi, któremu w tych osiągnięciach najwięcej dopomógł fantastyczny, niezrównany jego koń — P i c a d o r.

Sława polskiej jazdy trwa od wieków i Husaria Skrzydlata, Szwoleżerowie, a teraz młode pokolenie naszych jeźdźców przysparza barwom polskim wstęgi i nagrody. Bodajże najlepsza to propaganda, jaką od czasu wskrzeszenia Polski widzimy za granicą! Żegnajcie, świetni jeźdźcy, żegnajcie szlachetne konie, żegnaj miły Picadorze! Wracajcie jak najprędzej!”

Ból na nowo ścisnął mi serce nieustannie cierpiące. Ktoś z nieznanymi mi widzów, obecnych na rzymskich zawodach, bardzo wnikliwie, ze znanstwem i sentymentem koniarza przeżył i opisał swoje wrażenia, poświęcając Picadorowi, mnie i moim kolegom dużo miłych słów uznania.

Coś znowu chwyta za gardło, szarpie mi duszę. A więc stało się. W kraju już wiedzą o zwycięstwach i oczekują powrotu Picadora. Pomyślałem sobie — jakże ja będę wyglądał. Jak się tam pokażę bez Picadora, tym bardziej po tym opisie i ocenie?

Czy wiesz nieznanym mi autorze — miłośnikowi konia i sportu jeździeckiego, przyjacielu mój i Picadora, jeden z jego wielu entuzjastów, któremu jestem serdecznie wdzięczny za tak piękne ujęcie Twoich wrażeń — co znaczył w owej chwili otrzymanym w Mediolanie Twój bardzo życzliwy i tak bardzo serdeczny opis naszych zmagania na tle rzymskiej dekoracji? Twoje obawy i zastrzeżenia byłyby zupełnie słuszne z punktu widzenia interesów naszego jeździectwa i ambicji narodowej. Czy wiesz, że sam najwięcej byłem w to wciągnięty? Że właśnie dlatego, dla tej ciągłości rozwoju, dla utrzymania naszej i mojej wysokiej pozycji sportowej — musiałem sprzedać najdroższego sercu memu konia, widząc jego bliski koniec, o czym ani Ty, ani nikt w kraju nie wiedział. Że musiałem go możliwie szybko zastąpić innym, młodszym koniem o walorach już wiadomych. Że za to trzeba drogo płacić dziesiątkami tysięcy złotych i jeszcze większym bólem rozstania. Że za świeżo nabytego Unigeno, rokującego duże nadzieje, a który nam przyniósł już piękny sukces zwycięstwem w rekordzie na wysokość — zapłaciłem 1500 dolarów z kwoty uzyskanej za Picadora.

Skąd miałem wziąć pieniądze na zakup nowego zastępczego konia? O to w kraju na pewno nikt się nie zatroszczy.

Wiem to doskonale. Wiem i to niestety, że na przestrzeni wielu lat moich głośnych sukcesów, nikt z wielkich hodowców, magnatów i posiadaczy, którzy przyjmowali mnie z honorami, uważając niemal za swego, gdy wracałem tylokrotnie zwyciężcą — poza nudnymi, napuszonymi snobistycznymi przyjęciami — nie zaproponował mi nigdy nabycia od siebie jakiegoś wartościowego konia sportowego. A takie u nas mogły się znaleźć, lecz trudno było wyłuskać je z szeregów przeciętnych koni pułkowych. To się trafia bardzo rzadko niektórym szczęśliwcom. Przyszłości w sporcie nie można budować tylko na szczęściu. Tu jest potrzebny odpowiedniej klasy i talentu żywy sprzęt jeździecki oraz wkład cierpliwej, długoletniej nieraz pracy, tym bardziej gdy chodzi o konia młodego.

O tym wszystkim nie pomyślał, opisujący rzymskie spotkanie,

sympatyk Picadora i mój. Swą żywą, szczerą relacją głęboko dotknął świeżej, niezagojonej rany.

Pod włoskim niebem miałem zostawić Picadora na zawsze. Tego już nie można było odmienić.

Jeszcze raz pani di Frasso na moich oczach odniosła zwycięski sukces dzięki Picadorowi. Wkrótce potem nastąpiło smutne dla mnie rozstanie, mój wyjazd do Polski, a jego do Rzymu.

* * *

W rok później spotkaliśmy się z Picadorem w londyńskiej hali sportowej Olimpij, w której 2 lata przedtem godnie reprezentowaliśmy barwy Polski. Obecnie dosiadał go doskonały jeździec major Borsarelli. Picador bronił teraz barw białoczerwonych z dodatkiem zielonego koloru Włoch.

Przywitanie nasze było dla mnie nowym, wzruszającym przeżyciem. Życzyłem mu z całego serca najlepszych sukcesów pod jego nowym, znanym jeźdźcem, z którym tyle razy spotykaliśmy się w najbardziej miłej, koleżeńkiej walce na wielkich stadionach Europy. Jednak Picador nie był już dawnym groźnym przeciwnikiem. Wyglądał wprawdzie doskonale, był dobrze utrzymany, chodził poprawnie z dużą rutyną i spokojem, który go zawsze wyróżniał, lecz jego osiągnięcia nie były już ani częste, ani porywające.

Obserwując sprawozdania z międzynarodowych zawodów konnych w ciągu szeregu następnych lat, nie znajdowałem notatek o Picadorze, który u Włochów zachował nadal swoją sławną nazwę. O koniu tym było cicho.

Przez kilka kolejnych lat po roku 1927, gdy zakończyły się stare konie, a młodych następców wielkiej klasy międzynarodowej nie było jeszcze widać, gdyż u nas nie istniała jak w innych krajach stała grupa sportowa, przestaliśmy jeździć do Rzymu. Natomiast z Niceą utrzymywaliśmy nieprzerwaną łączność sportową. Tam oczywiście o spotkaniu z Picadorem nie było mowy, ponieważ — jak to już wcześniej zaznaczyłem — nie miał on tam prawa startu. Słyszałem, że żyje, że jest mu bardzo dobrze, lecz niewiele już działa w sporcie.

Czasami na małych prowincjonalnych zawodach w San Reno, Palermo, Bergamo pokazuje się na nim pani di Frasso, lecz raczej już tylko dla fasonu i przyjemności.

Ostatni raz widziałem Picadora, będąc szefem polskiej ekipy w r. 1932 na zawodach w Rzymie. Przy tej okazji, któregoś dnia postanowiłem go odwiedzić. Pojechaliliśmy wszyscy do wspaniałej posiadłości Villi Madama na Zatybrze, w której mieszkała pani Dentice di Frasso, a obok w zabudowaniach stajennych — Picador. Po złożeniu wizyty właściciele udaliśmy się razem z nią do stajni. Była właśnie pora południowego obrokowania. Cicho zbliżyłem się do wygodnego boksu Picadora. Stał właśnie tyłem, zajęty swoim obiadem. Wtedy gwizdnąłem na niego, jak niegdyś przed laty znanym mu sygnałem. Odwrócił się natychmiast i rżąc podszedł do mnie. Łzy zakręciły mi się w oczach. Nie mogłem opanować głębokiego wzruszenia. Po 5 latach rozłąki tuliłem do siebie znowu przeznaczonego garbonosa.

Mój drogi, kochany Picadorze! Mój stary koniu, niezapomniany przyjacielu! Oto przyszedłem uspokoić moje stęsknione za tobą serce i oczy. Nigdy już w moim życiu nikt cię zastąpić nie zdoła.

. . .

Picador odznaczał się fenomenalną pamięcią i wielkim do mnie przywiązaniem. Chodził za mną jak pies. Kiedyś w Warszawie wracałem z jazdy terenowej od strony Siekierok i Wilanowa. Długą kocimi łbami brukowaną ulicę Czerniakowską przebywałem zwykle pieszo, zazwyczaj nie prowadząc Picadora. Puszczając go wolno, szedł za mną sam spokojnie, nie odstawiając kroku, nie zwracając na nic uwagi. Spotkawszy znajomego, zagadałem się dłuższą chwilę, zapominając całkowicie o istnieniu konia. Nagle z lękiem obejrzałem się. Na ruchliwej ulicy, w oddaleniu kilku kroków stał mój poczciwy Picador.

Pewnego znów roku, podczas letnich manewrów, późną i ciemną nocą wracałem samotnie z Picadorem na kwaterę.

Przejeżdżając przez długą rozciągniętą wieś, w której dwa lata temu wstecz w okresie manewrów kwaterowałem, postanowiłem sprawdzić, czy istotnie konie odznaczają się taką pamięcią, o której nieraz tyle się słyszy. Puściłem luźno wodze koniowi. Picador, idąc stępą, mijał zagrody, gospodarstwa i zabudowania rozciągnięte wzdłuż drogi. W pewnej chwili skręcił, wszedł na podwórze, zatrzymując się przed stodołą, w której — jak się okazało i co stwierdziłem — miał swoją kwatere 2 lata temu.

Był to koń wzruszający. Kto mógł bardziej ode mnie odczuć jego stratę? Powitanie w 1932 roku w Rzymie po 5 latach niewidzenia się i chwila pożegnania — nie wiadomo na jak długo — to pamiętne przeżycie.

* * *

Przeszły znowu dwa lata. Będąc w ciągu 3 miesięcy na stażu jako obserwator włoskich szkół jeździeckich w Tor di Quinto pod Rzymem, wiosną 1934 roku brałem udział we wszelkich ćwiczeniach konnych tej słynnej, renomowanej w świecie szkoły. Oprócz codziennych jazd w bardzo trudnym i niebezpiecznym terenie, wyrabiających mocny dosiad i odwagę oraz szybką orientację u jeźdźców, odbywały się dwa razy w tygodniu polowania konne na lisa za psami gończymi. Tereny polowań leżały na północ od Rzymu w odległości od 20 — 40 km na ogromnych przestrzeniach nieużytków, wypasanych jedynie bydłem i owcami. To słynna Campagna Romana. Teren pagórkowaty, falisty o powulkanicznej glebie twardej jak skała, porźnięty głębokimi strumykami, poprzegradzany stacjonatami i płotami kamiennymi, porośnięty gdzieś tam kolczastymi, gęstymi krzakami. Trudny do jazdy i przy braniu przeszkód niebezpieczny.

Konie udawały się tam marszem wcześniej rano prowadzone przez luzaków. Jeżeli odległość rozpoczęcia polowania była większa niż 20 km, konie jechały koleją do najbliższej stacji lub były przewożone specjalnymi samochodami. W polowa-

niach brali udział uczniowie szkoły Tor di Quinto — wszyscy jeźdźcy garnizonu rzymskiego oraz osoby cywilne obojga płci, posiadające oczywiście własne konie i będące członkami towarzystwa polowań konnych na lisa. Towarzystwo to posiadało dwie własne sfory psów myśliwskich ze specjalną, angielską obsługą oraz dzierżawiło rozległe tereny Compagna Romana.

W takim polowaniu brało nieraz udział do 100 koni.

Któregoś chłodnego dnia staliśmy konno na wzgórzu w oczekiwaniu wytropienia lisa przez sforę psów, prowadzonych przez łowczych i dojeżdźaczy. Trwało to dość długo. Obok mnie siedział na koniu jakiś cywilny jeździec. Byłem w mundurze majora 1-go Pułku Szwoleżerów. Zaczęliśmy rozmowę. Gdy mu się przedstawiłem, usłyszawszy moje nazwisko, natychmiast zorientował się, że jestem byłym jeźdźcem i właścicielem Picadora — bardzo sławnego w Rzymie konia, którego głośna nazwa była na zawsze już ze mną złączona. Powiedział mi też, że na Picadorze jeździł rok temu w tej właśnie okolicy, biorąc udział w polowaniu. Byłem tym zaskoczony, ponieważ koń ten nie powinien być używany do tego rodzaju wyczerpującej jazdy ze względu na jego przeszłość i wiek, miał już bowiem około 24 lat. Sądziłem w pierwszej chwili, że pani di Frasso wypożyczyła Picadora memu przypadkowemu rozmówcy. Zapytawszy o to, dowiedziałem się, że pani di Frasso nie ma już od prawie 2 lat w Rzymie. Zwinęła wszystkie swoje dobra po jakimś nagłym bankructwie i sprzedała Picadora handlarzowi, od którego właśnie ów jeździec wypożyczał go na polowanie. Na moje pytanie co się obecnie dzieje z Picadorem, odpowiedział mi z dość zakłopotaną miną, że nie wie.

Uzyskawszy adres handlarza, następnego dnia udałem się zaniepokojony na jego poszukiwanie. Znalazłem go na Zatybrzu w dzielnicy nędznej i brudnej. Stał przede mną gruby, typowy włoski handlarz koni. Zbliżając się do niego uczułem lęk i jakąś obawę przed złą wiadomością. Gdy zapytałem o Picadora — ów najspokojniej odpowiedział mi: „Abbiamo

mangato Picadoro — zjedliśmy Picadora”, po czym dodał „nie mogłem utrzymywać konia, który był już do niczego”.

Odwróciłem się, by nie widział jak ciężkie dostałem uderzenie. Odszedłem z wielkim żalem do ludzi, którzy dopuścili do tak nieoczekiwane smutnego zakończenia życia zasłużonego Wielkiego Konia.



Picador pod swoim jeźdźcem



Pinerolo — budynki szkoły



Popis w szkole Tor di Quinto. Zastęp 30 jeźdźców na scivolone. Wśród jeźdźców włoskich — na dole, trzeci od lewej mjr Królikiewicz

AMERYKA

PIERWSZA WYPRAWA JEŹDZCÓW POLSKICH ZA OCEAN

Od wielu lat Stany Zjednoczone Ameryki Północnej urządzą co roku wielką wystawę koni. W związku z nią odbywają się tam jednocześnie, na wzór Londynu, międzynarodowe zawody konne w formie konkursów skoków przez przeszkody.

O zawodach nowojorskich czytaliśmy tylko sprawozdania, nie wiedząc o nich nic dokładnego.

Słyszeliśmy, że w roku 1925 brali w nich udział między innymi Belgowie i Francuzi.

Jedni i drudzy odnieśli wspaniałe sukcesy. Szczególnie odznaczyli się Francuzi, którzy w roku 1925 w Nowym Jorku zdobyli wiele nagród wraz z największą nagrodą wojskową, tzw. Puchar Narodów.

Na liście zaproszonych gości w roku 1926 pierwszy raz znalazła się Polska. Zaproszenie przyszło niespodziewanie, w ostatniej chwili, dzięki staraniom naszego posła w Waszyngtonie p. Ciechanowskiego i generalnego konsula w Nowym Jorku p. dr Gruszki.

W Ameryce dotąd niewiele wiedziano o polskiej kawalerii, naszej sztuce jeździeckiej i o tym, że w Polsce sport konny stał na bardzo wysokim poziomie, pozwalającym na zmierzenie się z najwybitniejszymi jeźdźcami świata.

Stosownie do zaproszenia, które wyraźnie określało ilość jeźdźców, koni i luzaków, nasze Ministerstwo Spraw Wojskowych wyznaczyło na zawody nowojorskie 3 oficerów: mjr Toczka z 10 Dywizjonu Artylerii Konnej, rtm. Królikiewicza z 1 Pułku Szwoleżerów i por. Szoslanda z 2 Pułku Ułanów.

Wymienieni, oprócz rtm. Królikiewicza znajdującego się na miejscu, wraz z 9 końmi, z których ostatecznie 6 miało się

udać za ocean (3 służyły do ostatniej chwili jako rezerwa), zostali wezwani do Warszawy, gdzie w 1 Pułku Szwoleżerów zaczęto pospiesznie trenować konie.

Niespełna 3 tygodnie, jakie mieliśmy na przygotowania, było stanowczo za mało. Konie nasze były zupełnie bez formy, gdyż po wiosennych zawodach w Nicei, Rzymie, Neapolu, Mediolanie i warszawskich, które odbywały się w nieco późniejszym terminie, nie spodziewając się udziału w żadnych konkurencjach od dłuższego czasu wypoczywały. Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Z jednej strony trzeba było zachować wielką ostrożność, z drugiej bliski termin wyjazdu naglił do pośpiechu. Nie wiedzieliśmy też nic o warunkach, w jakich odbywają się zawody w Nowym Jorku. Ze względu na spóźnioną porę (22—30 listopad) i na pokrewieństwo z Anglikami przypuszczaliśmy, że zawody w Ameryce odbywać się będą nie na otwartym stadionie, lecz pod dachem ujeżdżalni. Należało więc spodziewać się tego samego, co widzieliśmy już w Londynie w roku 1925, w pięknej hali pałacu sportowego Olympia.

Jak w latach ubiegłych tak i teraz 1 Pułk Szwoleżerów udzielił nam swej gościny i pomocy, oddając do naszej dyspozycji najlepszą stajnię, ujeżdżalnię, przeszkody oraz wszelki potrzebny sprzęt.

Wreszcie po dwukrotnej, generalnej próbie, wieczorem przy świetle, orkiestrze i publiczności (chcąc w ten sposób choć w części otrząść nasze konie z nocnymi występami, jakie ewentualnie mogły nas czekać za oceanem) zakończyliśmy krótki trening.

Mimo że konie nasze dalekie były jeszcze od osiągnięcia należytej formy, wyjechaliśmy dnia 28 października do Antwerpii, gdzie oczekiwał nas okręt Lapland, który miał zabrać także drużynę francuską, belgijską i holenderską.

Poszły z nami następujące konie: Faworyt i Hamlet mjr Toczka, Jacek i własny Unigeno rtm. Królikiewicza, Redgledt i Morinus Szoslanda. Jeden z najlepszych naszych skoczków Rewcliff, na którym wygrałem ostatnio w Warszawie konkurs

prezydenta, odpadł z tej stawki, gdyż w drodze z Grudziądza do Warszawy został dotkliwie pokaleczony przez drugiego konia. Po tym wypadku musiałem zabrać, będącego zawsze w rezerwie, bardzo trudnego i nerwowego Jacka.

Przez Zbąszyn, Berlin, Aachen, Brukselę przybyliśmy do Antwerpii na kilka dni przed załadowaniem na okręt.

W ANTWERPII

Umieściwszy nasze konie w stajni 3 Pułku Ułanów Belgijskich dowiedzieliśmy się, że jesteśmy ostatnią drużyną, udającą się do Nowego Jorku. Francuzi, Belgowie i Holendrzy wyjechali znacznie wcześniej, chcąc zdążyć jeszcze na zawody, które odbywały się w Toronto w Kanadzie.

Żał nam było tej zaprzepaszczonej okazji, tym bardziej że po długiej i ciężkiej podróży morskiej nasze konie mogłyby nieco dłużej pobyc na lądzie, wypoczywając przed nowojorskimi zawodami.

Francuzi i Belgowie nie pierwszy raz wyjeżdżali do Nowego Jorku. Warunki zawodów były im już dobrze znane, chętnie więc skorzystali z wcześniejszego wyjazdu.

W czasie kilkudniowego pobytu w Antwerpii, w oczekiwaniu na okręt, złożyliśmy wizytę generałowi komendantowi garnizonu oraz d-cy pułku, który w podległym mu oddziale dał kwaterę naszym koniom i luzakom.

Z niecierpliwością wyczekiwaliśmy dnia, w którym mieliśmy stanąć na pokładzie. Ziemia paliła nam stopy. Ciekawa Antwerpia mało nas interesowała. Wabiło nieznane morze, a myśli nasze nieustannie biegały przez ocean, goniąc Francuzów, Belgów i Holendrów.

Wreszcie nadszedł ów upragniony dzień. Rano 5 listopada o godzinie ósmej udaliśmy się wraz z końmi do portu. Po godzinnym marszu doszliśmy na miejsce, gdzie na kotwicy nieruchomo stał Lapland.

Ze zdziwieniem oglądałem to wielkie nieruchome zwierzę,

w którego wnętrzu jak w otchłani — ginęły ładunki furgonów i ciężarowych samochodów.

Lapland nie mrugnawszy okiem połykał niesłychane ilości przeróżnych towarów, oczekując jakby na naszą grupę, dokoła której zgromadził się tymczasem tłum ciekawych osób.

Hałas i zgiełk nie do opisania zdenerwował nasze konie, które niepokoiły się coraz bardziej, czekając na załadowanie.

Kręciłem się to tu, to tam, chcąc się wszystkiemu przyjrzeć. Przemierzyłem długość okrętu, wynoszącą 240 kroków, a następnie znalazłem boks do przenoszenia koni na okręt.

Jest to duża, mocno okuta skrzynia, u góry odkryta, posiadająca dwie ruchome, otwierane przeciwległe ściany. Konia wprowadza się w ciasny korytarzyk długości zaledwie dwu dużych kroków, a następnie prędko, nim zauważy zasadzkę, zamyka się przeciwległe ściany skrzyni. W ten sposób koń zamknięty ze wszystkich stron nie może ruszyć się ani na przód, ani w tył.

Po dokonaniu tego gromadka ludzi ładujących okręt rzuca się na klatkę i ze wszystkich stron krępuje pasami, biedne, oszukane, drżące ze strachu zwierzę.

Po chwili wszyscy odskakują. Naprężone liny elewatora unoszą powoli w górę chwiejącą się klatkę. Wystraszone zwierze na próżno szarpie się, chwytając w komiczny sposób w rozkołysanej klatce równowagę. Wychylony łeb i wystraszone, poczciwe oczy patrzą z żalem, szukając u ludzi ratunku.

Widocznie podróż taka do przyjemności końskich nie należy, gdyż stary wyga i doświadczony podróżnik amerykańskiego pochodzenia, Jacek, który poszedł na pierwszy ogień, nie dawał się w żaden sposób namówić ani skusić pachnącym sianem do przejścia zdradliwego korytarza, zmieniającego się w więzienie.

Nie pomogły delikatne słowa zachęty, ani ostrzejsze odwoływanie się do jego końskiej inteligencji.

— Jacuś, Jacek, Jacenty, wiaźże cholero jedna! — prosiliśmy go grzecznie.

Nic nie pomogło. Niemy zwierzak, szelma Jacenty, czterema

nogami zarył się w ziemię, łeb zadarł w górę, jedno ślepie wystawił na klatkę, a drugie, białe z przerażenia na majora Toczka, który rozgniewany uporem zwierzęcia starał się przez swe binokle, jak przez chińskie okulary, wyrzucić hipnotyczny wpływ na Jacka. W końcu po długich zabiegach, owinięciu głowy derką wepchnęliśmy Jacentego do klatki. Dalej już spokojnie poddały się tej operacji: Unigeno, Hamlet, Faworyt, Morinus i Redgledt.

Na okręcie urządzono naszym koniom dość wygodne boksy. Zamiast słomy dostały na ściótkę torfu i doskonałe siano na zakąskę. Nasi luzacy w mig się urządzili i rozkwaterowali.

Rozejrzawszy się czy wszystko jest w porządku, wyszliśmy na pokład. Do odjazdu została nam niecała godzina.

Kilka kartek, wydartych z notesu, zawiadamiających o załadunku na okręt i o tym, że za chwilę opuszczamy stary kontynent, pisane w pośpiechu słowa pożegnania i pozdrowienia wysyłamy już w ostatniej chwili. Nagle Lapland obudził się. Zadrzało jego nieruchome cielsko i z wolna zaczęliśmy oddalać się od przystani.

NA OKRĘCIE

Długo staliśmy jeszcze na pokładzie, zegnając Starą Ziemię, pełni osobliwych emocji, ciekawi pierwszej zamorskiej wyprawy i tego co nas tam spotka.

Skoro znikła nam z oczu Antwerpia, nasze zainteresowania zostały siłą faktu skierowane na sprawy okrętowego życia. Więc najpierw konie, do których zeszlismy na spód okrętu. Zachowywały się normalnie w ciasnych, obitych materacami boksach. Pasy zabezpieczające luźno zwisały im pod brzuchami. Następnie udaliśmy się do sali restauracyjnej, wypełnionej dużą ilością na ogół słabo obsadzonych stolików. Interesowali nas ludzie, wśród których mieliśmy spędzić szereg monotonych dni, jak się okazało, dość uciążliwej podróży. Rozglądając się po sali szukaliśmy interesujących postaci rodzaju raczej żeńskiego.

Nasz Lapland był niestety starym, dość zużytym pudłem — wprowadzie o wygodnych, obszernych kabinach, z podziałem na 3 kategorie klas tj. I, II i III — ale niczym nie przypominającym modnych, ani luksusowych pływających hoteli. Szanse nawiązania atrakcyjnych znajomości topniały, choć chęć urozmaicenia podróży i znalezienia miłego towarzystwa tliła nadal.

Padła więc propozycja przejrzenia znajdującej się na naszym stole listy pasażerów, na której postanowiliśmy szukać nazwisk polskich podróżniczek, udających się tym samym okrętem do Ameryki.

Toczek, mimo że najpoważniejszy z nas i artylerzysta — poniesiony gorącym, prawie kawaleryjskim sentymentem do płci pięknej, zastrzegł sobie z miejsca, że pierwszą znalezioną na liście Polkę „rezerwuje dla siebie”. Nikt z nas nie protestował. Przypadło mu to pierwszeństwo z wieku i stopnia. Ja natomiast choć pod tym względem nie należałem do najskromniejszych, jednak jako projektodawca tej loterii — nie mogłem zastrzec sobie drugiej lokaty, którą z góry odstąpiłem Szoslandowi, godząc się wziąć udział w losowaniu jako trzeci. Taki, z góry ustalony podział zdobywszy dał w rezultacie następujące wyniki:

W pierwszej klasie — poza obcymi nazwiskami przeważnie angielskiego pochodzenia — nie znaleźliśmy ani jednego polskiego. Nie dając za wygraną, coraz bardziej pewni na otwartym morzu swej swobody (wszyscy byliśmy wtedy już żonaci) postanowiliśmy sprawdzić listę pasażerów drugiej klasy. Osobiście nigdy nic nie miałem przeciwko podróżującym średniakom, wprost przeciwnie bardziej odpowiadały mi umiarkowane demokratyczne stosunki między ludźmi oraz ich przeciętna stopa życiowa.

W drugiej klasie był już znacznie większy ścisk, a więc i więcej szans na zrealizowanie naszego konkursu przygód. Pierwsze niewątpliwie polskie nazwisko, należące do nieznannej nam jeszcze pani Katarzyny Jajko (autentyczne nazwisko jak naszego luzaka — Żygała), pochodzącej z Nowego Sącza,

bo i to było zaznaczone na liście — nie budziło najmniejszych wątpliwości, że jego właścicielka jest naszą rodaczką.

Michał z zadowoleniem przyjął szczęśliwy dar losu. Polskie Jajko — jak się wkrótce okazało — było świeże i dość znacznych rozmiarów, tak że można nim było od biedy nasycić pierwszy okrętowy głód.

Następną osobą płci nadobnej pochodzenia nie całkiem polskiego — która z kolei przypaść miała Szoslandowi — była, więcej niż korpulentna, pani z Białegostoku. To Kazia trochę zaskoczyło. Skrzywił się i jakoś stracił ochotę do realizowania zaprojektowanej przygody.

Ja miałem najgorszego pecha, bo nie tylko, że nic mnie już ciekawego nie czekało ani w drugiej, ani w trzeciej klasie, ale jeszcze na dodatek ogarnęła mnie zupełna niemoc. Bardzo niespokojne morze wybiło mi z głowy wszelkie płochy myśli i nadzieje na jakąkolwiek romantyczną przygodę.

Omijając spotykane pasażerskie i towarowe statki wypłynęliśmy na Morze Północne. Następnie biorąc kierunek zachodni, znaleźliśmy się w kanale La Manche, płynąc wzdłuż brzegów Anglii.

Drugiego dnia rano przystanek w pobliżu angielskiego portu Southampton. Zmiana kilku pasażerów, po czym prosto na południe ruszamy do francuskiego portu Cherbourga, dokąd przybywamy tegoż dnia późnym wieczorem. Korzystamy z tego wysyłając ostatnie listy, gdyż następne będzie można wysłać dopiero z Nowego Jorku, a nim to nastąpi i zanim dojdą one do Polski, minie dobre 3 tygodnie a może i więcej.

Po godzinnym postoju Lapland całą parą rusza na zachód, wypływając na pełny ocean. Europa ginie nam z oczu; przed nami do przebycia 3070 mil ang. czyli około 5500 km wodnej przestrzeni.

Trzeciego dnia rano z pokładu widziałem już tylko dookoła wodę, nad sobą zachmurzone niebo i duże stado mew.

Po śniadaniu zajrzałem do koni.

— Co słyhać chłopcy? Jak konie? — zapytałem, wchodząc do naszej okrętowej stajenki.

— Dobrze, panie rotmistrzu, tylko Żygała już... leży.

W samej rzeczy, luzak Szoslanda, starszy ułan Żygała pokazał co to nomen omen.

Reszta gospodarowała jak u siebie w domu, a mając nie-małe doświadczenie podróżnicze, nasi chłopcy rozkwaterowali się na dobre. Rej między nimi wodzi mój luzak, starszy szwoleżer Bieńkowski, jako że już niejedno widział i z niejednego pieca jadł chleb. Gdzie on już nie był? Od czterech przeszło lat, co roku jeździł ze mną na wszystkie międzynarodowe zawody konne, gdzie tylko Polska dotąd była reprezentowana. Nawet na audyencji u Papieża miał szczęście być dwa razy.

Sprawdziwszy stan koni, które wcale nie wyglądały na morskich podróżników, pobiegłem szybko na górę, czując... jakiś dziwny niepokój w okolicy żołądka. Dostałem zawrotu głowy, zrobiło mi się słabo. Wbiegłem do kajuty. Choroba morska!

Przeleżawszy najgorsze cztery dni w dusznej, skrzypiącej kajucie, wywlokłem się wreszcie na górny, kryty pokład okrętu. Zastałem tu cały szpital. Mnóstwo leżaków, a w nich prawie wszystkich pasażerów I-szej klasy, wymęczonych, białych, przykrytych pledami. Chwiałem się na nogach jak trup na urlopie, więc i mnie do tej kompanii przyjęto.

Toczek i Szosland jakoś nic sobie nie robili z morskiej choroby, a w każdym razie nie przyznawali się do niej.

Konie początkowo czuły się nieźle, jednak w czasie dwudniowej niepogody, która z czytanych opisów przypominała mi burzę, niektóre szkapska straciły apetyt. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach, przeciwstawiały się gwałtownym odchyleniom okrętu, którym fale rzucały raz po raz jak zabawką.

W tym czasie, leżąc schorowany na pokładzie okrętu, wodziłem błędnymi oczyma po szerokim oceanie, myśląc o szalonej wyprawie dzielnego Kolumba, który z uporem maniaka i niezwykłą energią szukał nowej, nieznannej nikomu ziemi.

Siódmego dnia podróży dość niska dotychczas temperatura nagle się podniosła. Zrobiło się zupełnie ciepło — prawie dusz-

no. Jak powiew afrykańskiego sirocco działał ciepły prąd Golfstromu, który przecinając, mijaliśmy o około 50 km leżącą na północ Nową Funlandię. Jednocześnie zjawily się nad nami, dawno na morzu nie widziane — pierwsze zwiastuny niedalekiej ziemi — mewy.

Z niecierpliwością, wyczekując końca morskich „przyjemności” i okrętowych nudów, co dzień w południe oglądaliśmy na mapie zakreśloną przez kapitana okrętu przebytą w ostatnich 24 godzinach drogę.

Do koni schodziliśmy po kilkanaście razy dziennie, oglądając ich nogi nabrzmiałe od ciągłego, niewygodnego stania i braku ruchu, masując im ścięgna i całe ciało, chcąc w ten sposób pobudzić cyrkulację i dopływ krwi. Były to dla nas najważniejsze i najmiłsze zajęcia.

NOWY JORK

Po 10 dniach długiej morskiej podróży i gwałtownego kołowania, w czasie którego nie wiem co robiłbym z nudów, gdyby mnie w swe objęcia nie wzięła morska choroba, dnia 15 listopada spokojnym nareszcie morzem podpływaliśmy do lądu.

Był wczesny ranek. Z dała rysowały się na horyzoncie ciemne, w mgłę spowite kontury ziemi.

Nim nas jednak wpuszczono w gościnne, lecz niezbyt chętnie dla wszystkich cudzoziemców otwierające się podwoje najszczęśliwszego na świecie kraju — okręt nasz zatrzymał się z należnym szacunkiem na odległości armatniego strzału przed Nowym Jorkiem.

Wszystko co żyło — wyległo na pokład. Wschodzące słońce odbijało się w morzu, znacząc na wodzie swój ślad. Nowa ziemia stawała się coraz bliższa, coraz widoczniejsza.

Ameryka! Kraj kontrastów, miliarderów i ubogich, drapaczy i slumsów, wspaniałych pomysłów, cudownych wynalazków i urządzeń. Kraj, który we wszystkim chce być pierwszy. Kraj kolosów i jeszcze większych cyfr.

Przed przybyciem do doków portu zajął naszą uwagę zegar

olbrzym, też największy na świecie. Jadąc dalej minęliśmy pomnik Wolności.

W zbitej gromadzie pomniejszych dwudziesto- trzydziesto- piętrowych „drapaczów nieba”, już w samym sercu Nowego Jorku, największego miasta, mającego najliczniejszą ze wszystkich miast świata ludność, widać gmach niezwyklej rozmiarów, liczący ni mniej, ni więcej, tylko 56 pięter. A więc „znowu” najwyższy (w tym czasie) na globie budynek mieszkalny.

W Ameryce po zejściu z okrętu, powitał nas sekretarz polskiego konsulatu.

Nagle zjawił się — jak spod ziemi — korespondent jakiegoś dziennika, pytając czy jesteśmy oficerami polskimi, przybywającymi na konkursy. Jednym z pierwszych pytań, jakie nam zadał, było:

— Jakiej wartości są konie panów?

Oczywiście zmyśliliśmy zaraz fantastyczne, zawrotne cyfry w dolarach, gdyż nie chcieliśmy wybijać się skromnością, która tu w Ameryce ma kurs najgorszy.

Nasze konie miały ujrzeć światło dzienne dopiero o godzinie czternastej. Udaliśmy się przeto do hotelu na śniadanie.

Hotel Baltimore, leżący w sercu Nowego Jorku bo tuż przy słynnej 5 Avenue, tj. w najbogatszej i najbardziej eleganckiej części miasta, ma 22 piętra i 1500 pokoiów, każdy z łazienką. Wcale niczego sobie „drapaczyk nieba”. Winda z szaloną szybkością wynosi na 18 piętro. Wyjrzawszy przez okno — dostałem zawrotu głowy.

Po śniadaniu udaliśmy się do portu. Tu stał już samochód-karetka a w niej 3 nasze konie gotowe do przewiezienia do stajni.

Biedne koniska były zupełnie zrozpaczone! Ledwo je po 10 dniach na chwilę wydobyto na światło dzienne z czeluści od tyłu dni kołyszącego się więzienia — by natychmiast zapchać je z powrotem do jakiejś ciasnej budy. Na szczęście podróż do stajni trwała tylko 20 minut.

W końcu zatrzymaliśmy się przed dużym budynkiem. Konie zupełnie mokre ze zdenerwowania, wyskakiwały z auta jak

szalone, a poczuwszy stały grunt pod nogami rżały radośnie z zadowoleniem, zadzierając ogony.

Po równi pochyłej, pokrytej karbowanym gumowym dywanem, udały się nasze zacne czworonogi aż na 3 piętro tego dziwnego domu. Tam oczekiwał je zasłużony odpoczynek w wygodnych boksach.

W stajni zastaliśmy już konie Holendrów i Hiszpanów. Tym ostatnim w czasie podróży morskiej padł jeden z 6 transportowanych wierzchowców. Spuścili go do morza.

Budynek, w którym ulokowano nasze konie, tzw. Durnland Riding Academy jest prywatnym tatersalem i w danej chwili mieści na piętrach i w podziemiach około 300 wierzchowych koni. W ujeżdżalni, znajdującej się na parterze i wspaniale urządzonej, zastaliśmy wielką ilość amatorów konnej jazdy.

Co dzień, od godz. 8 rano do 10 wieczór, panuje tu ruch niesłychany. Jedne konie przychodzą odrabiać swoją godzinę, inne już po pracy wychodzą krętymi korytarzami same udając się do swych stajen, znajdujących się na różnych piętrach. Jeźdźcy płci obojga — panie, panowie, starzy i młodzi, dzieci, nauczyciele konnej jazdy i służba stajenna — wszyscy bez względu na wiek zajęci są koniem. Jednych zmusza do tej pracy obowiązek, drugich ciągnie zamiłowanie do sportu i przyjemność, inni jeszcze, a jest ich dość liczna grupa, uprawiają jazdę konną na skutek zaleceń lekarzy.

W oszklonych łóżach publiczność przypatruje się jeżdżącym lub oczekuje swej lekcji. Obok biuro, magazyn z wystawą siodlarską i restauracją. U góry dookoła ujeżdżalni balkon z kilkoma rzędami krzeseł i orkiestra przygrywająca od rana do wieczora.

Następnego dnia, na godzinnym rannym spacerze, obserwując ruchy naszych koni, prowadzonych w rękę przekonaliśmy się, że w podróży zbyt nie ucierpiały. Jedynie Morinus bardziej zeszywniał.

Poranne dzienniki w rubryce sensacji dnia doniosły o spro-

wadzeniu z Indii białego słonia, mającego wziąć udział w filmie, oraz... o przybyciu na konkursy polskich jeźdźców.

Około południa udaliśmy się do sekretariatu wystawy celem zasięgnięcia informacji o konkursach hippicznych. Głównie interesowała nas lista przyszłych współzawodników, ilość reprezentowanych narodów, ilość mających brać udział koni i jeźdźców, teren zawodów, dokładny termin rozpoczęcia, ilość i sposób urządzenia konkursów, rodzaj i typ przeszkód, dni i godziny, jednym słowem dokładny program zawodów i organizacja.

Będąc jeszcze w kraju, kiedy nie mieliśmy żadnych szczegółów o nowojorskich zawodach, przypuszczaliśmy, że na ziemi amerykańskiej możemy spotkać coś podobnego do londyńskiej Olympii. Po wejściu do sekretariatu oczom naszym ukazał się obraz, który wyjaśnił od razu od tyłu dni dręczącą nas zagadkę.

Oto naprzeciwko wejścia uderzyła nas swymi rozmiarami, wspaniale udekorowana fotografia, przedstawiająca piękną arenę londyńskiego pałacu sportowego Olympia.

Jeden rzut oka i byliśmy już całkowicie zorientowani.

Naszymi współzawodnikami w konkursach wojskowych miały być następujące drużyny: Francja, Belgia, Hiszpania, Holandia, Stany Zjednoczone i Kanada.

Gdy zapytaliśmy o rodzaj przeszkód i czy stosowane są taktety*), odpowiedziano nam: „Wszystko zupełnie jak w Londynie, nawet przeszkody do Nowego Jorku sprowadzono stamtąd”.

Zatem całkowicie skopiowano Olympię, nawet format programu i czas 2 minuty na przebycie każdego parcoursu wprowadzono taki sam.

W przeddzień zawodów wieczorem udaliśmy się na zwiedzenie i zbadanie terenu walki, miejsca naszych przyszłych utrapień.

*) Cienkie drewniane listewki, układane na przeszkodzie, stanowiące jej górną część, która za najbliższym dotknięciem spadając daje jeźdźcowi punkty karne. W owym czasie taktety stosowano tylko w Anglii, Ameryce i Irlandii.

MADISON SQUARE GARDEN

Pałac sportowy Madison Square Garden znajduje się w centrum Nowego Jorku w pobliżu Broadway'u. Jest to ogromny — jak zresztą wszystko w Ameryce — budynek, w którego olbrzymich murach urządzone są wszelkiego rodzaju imprezy sportowe: pokazy, wystawy i przeróżne widowiska.

Wchodzimy na arenę, która przygotowana jest do meczu bokserskiego, jaki ma się tu dziś wieczorem odbyć.

Na dużej przestrzeni, dookoła wzniesionej na środku, niewielkiej arenki, ustawione są krzesła, dalej znajdują się trybuny, a oprócz nich ze wszystkich stron łoże, balkony i piętra, mogące pomieścić około 18 tysięcy widzów.

Marmurowa, gładka, 40 na 90 kroków, w formie elipsy arena jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zmienia swój wygląd w ciągu niespełna kilku godzin. Zależnie od potrzeby, staje się wspaniałym torem kolarskim jak i miękką ujeżdżalnią przystrojoną w przeszkody, zieleń i kwiaty.

Tu odbywają się również zawody tenisowe i hokejowe, a najczęściej walki bokserskie.

Tu podziwiano Zuzannę Lenglen, tu biegał Nurmi i Ritola.

Tu padł niejeden tytuł bokserskiego mistrza, tu wreszcie wobec zdumionych tysięcznych tłumów amerykańskiej, niezwykle sportowej publiczności, miały po raz pierwszy pojawić się polskie konie i mundury.

Dowiadujemy się, że jedna noc wystarczy, by z zapełnionej trybunami oraz niezliczoną ilością krzeseł twardej areny, urządzić wyśmienity, miękki tor konkursowy.

— Jutro rano między godziną 6 a 7.30 panowie będą już mogli przejechać tutaj swoje konie — objaśnia nas jakiś gentleman.

Uspokojony, a jednocześnie zdumiony ogromem pracy, jaka ma być w ciągu jednej nocy z istic amerykańskim pośpiechem wykonana, poszedłem dalej obejrzeć stajnie, do których na czas konkursów mieliśmy sprowadzić nasze konie, ulokowane dotąd na trzecim piętrze w Durnland Riding Academy.

W Madison Square Garden znajduje się około 200 wygodnych boksów, w których każdy koń oddzielnie, niewiązany, może swobodnie się poruszać.

Taka sama jak na arenie, kamienna podłoga jest tu pokryta warstwą żwiru i torfu. Korytarze wysłane są grubymi dywanami koloru ziemi, by koń idąc nie pośliznął się i nie uległ wypadkowi. W ogromnych szklanych butlach przygotowana jest dla koni woda o temperaturze stajennej.

Zaczęły mnie nęcić stojące na boku przeszkody, więc poszedłem się z nimi zapoznać.

Przypuszczenia moje sprawdziły się co do joty. Przeszkody były nie tylko podobne do londyńskich, lecz — jak nas w tu-tejszym biurze z dumą informowano — zostały nawet wykonane w londyńskiej Olympii i stamtąd jako niedościgły wzór doskonałości, sprowadzone do Nowego Jorku.

Jest to jeden jeszcze dowód, że Amerykanie o sporcie przeszkodowym, zwanym u nas konkursowym, mieli inne niż na zachodzie Europy pojęcie, skoro nie tylko opierali się, lecz najdokładniej kopiowali cyrkowe wzory angielskie, przenosząc je na swój teren.

— Trudno. Nie we wszystkim możecie imponować starej Europie — pomyślałem sobie, gdy wtem oko moje padło na znieawidzoną, dobrze mi znaną z zeszłorocznych konkursów, przekłętą londyńską bramkę, która nam, Polakom, tyle sprawiła nieprzewidzianych trudności. Zakląłem brzydko i nawymyślawszy jej od angielskich chorób poszedłem przywitać stojący na boku, sympatyczny szary murek, a obok niego zieloną, pachnącą „hurde” tj. żywopłot.

Obie te przeszkody, chociaż nieraz wysokie, jednak ogólnie są lubiane przez nas i przez konie.

Na zielonej hurdzie można robić różne kombinacje, a wszystkie są przyjemne. Jest to przeszkoda, którą zwykle stawia się jako pierwszą w parcourse, by naturalnym i pełnym, miłym jej widokiem zachęcić konia do skoku. Z hurdą jak z młodą niewiastą — zawsze przyjemnie się spotkać.

Dla nas, bractwa koniarzy-skoczków są pewne przeszkody,

na które lubimy patrzeć. Gdy ujrzymy taką, będziemy się jej przyglądać długo, ze wszystkich stron, miłośnie uśmiechając się do niej, by wreszcie dać się porwać namiętnej pokusie brania jej przy każdym spotkaniu.

A więc jutro rozpoczynamy bal, oby był przyjemny.

W DZIEŃ ZAWODÓW

Gdy w dniu rozpoczęcia konkursów o godzinie szóstej rano weszliśmy do Madison Square Garden, oczom naszym przedstawił się widok, podobny do dobrze nam znanej londyńskiej Olympii.

Kamienną posadzkę pokryto warstwą ziemi, trocinami i torfem. Dookoła areny o kształcie elipsy i rozmiarach 40 kroków szerokości i 80 kroków długości ustawiono w koszach zieleń oraz kwiaty, które ożywiały niezbyt ładne w konstrukcji, ponure wnętrza budynku.

Dookoła areny łoże, za nimi 14 rzędów krzeseł, a wyżej jeszcze na dwóch piętrach również po kilkanaście rzędów miejsc. U góry żelazna konstrukcja dachu oraz nagie niczym nie ozdobione szare żelazobetonowe balkony i filary tworzyły dość monotonną całość.

Obszedłem wszystkie możliwe zakamarki tego budynku, na próżno szukając oddzielnego miejsca niezbędnego do rozprężania koni. Rozprężenie oznacza rozruszanie konia, który wprost ze stajni wzięty pod jeźdźca ma przygotować się do większego wysiłku. Każdy kto rozumie pracę mięśni konia, płuc i serca, kto zna się choć trochę na treningu konia, wie, że w jeździectwie bez rozprężenia — podobnie jak bez rozgrzewki w lekkiej atletyce — nie powinno się wymagać od żywego organizmu od razu gwałtownego wysiłku.

W Europie organizatorzy zawodów konnych przygotowują odpowiedni kawałek terenu, zaopatrzonego w kilka przeszkód, gdzie można tuż przed konkursem konia rozprężyć. W kwitnącej sportami Ameryce takiego miejsca nie było.

W ogóle w organizacji całej imprezy przeważał na każdym kroku moment cyrkowo-finansowy.

Dla naszych koni, przyzwyczajonych do racjonalnego treningu, niemożność rozprężenia stanowiła bardzo poważne utrudnienie. Wobec braku odpowiedniego terenu pozwolono wszystkim zawodnikom na codzienne treningi rano między godz. 6 a 7 na tej samej arenie, na której miały się odbyć zawody.

To znowu było coś niespotykanego w Europie, gdzie pod groźbą dyskwalifikacji na cały czas konkursów — nie wolno konia wprowadzić na tor konkursowy. I słusznie, gdyż konkurs hippiczny jest egzaminem jazdy dla jeźdźcy, a dla konia sprawdzianem posłuszeństwa i przygotowania go do przebycia nieznanego terenu z przeszkodami. Gdy jest inaczej, zawody mijają się z celem, stając się tylko kosztowną cyrkową zabawą.

Co kraj — to obyczaj.

Wprowadziliśmy więc nasze konie na arenę, gdzie już panował hałas, zamieszanie i bałagan niemożliwy. Kilkudziesięciu jeźdźców różnych narodowości wraz z tutejszymi dżentelmenami, amazonkami i służbą stajenną amerykańskich miliarderów skacze na wszystkie strony, nie pilnując żadnej kolejności.

W południe udaliśmy się na śniadanie wydane dla uczestników zawodów przez pana Johna Bowmana, prezesa National Horse Show Association of America Limited.

W bogatej sali hotelu Baltimore przy stole ustawionym w podkowie zasiadło z górą 200 osób z prezydentem Nowego Jorku panem Jamesem Walkerem na czele.

Pan James Walker, człowiek młody i dość bogaty, nie wstydzi się bynajmniej tego, że kilkanaście lat temu, na ulicach największego na świecie miasta, którego obecnie jest szanowaną głową, sprzedawał gazety. Wspomniał nawet o tym w swym przemówieniu.

W owych czasach konsumpcja napoi alkoholowych na terenie tego wielkiego, pełnego swobód kraju była zabroniona ustawą

prohibicyjną. Mimo to, a może raczej właśnie dlatego, pito tam dużo drogich, pochodzących z przemytu trunków alkoholowych.

Jakoż na stole stało sporo butelek z etykietą: Apollinaris Mineral Water — woda mineralna. Nalano nam jej po pełnym dużym kielichu. Owa złotego koloru woda mineralna dziwnie przypominała mi smak angielskiej whisky, czy też naszej pocziwej żytniówki. Zdumiony sądziłem, że jestem w błędzie.

Spojrzałem na moich sąsiadów Holendrów, których znam dobrze jako ludzi, mających wyraźny wstręt do... wody. Lecz tu naraz zaszła jakaś dziwna zmiana. Apollinaris zniknęła przeźrażliwie szybko, a tylko stojące przed moimi sąsiadami puste butelki świadczyły o ich wielkim pragnieniu.

Dobra ta „mineralna woda”, działając zbawiennie na żołądek, rozpromieniła wnet oblicza wszystkich gości, szczególnie zaś gospodarzy, którzy głośno reagowali śmiechem słuchając świetnej sportowo-polityczno-humorystycznej mowy prezydenta Nowego Jorku.

ZAWODY

Wieczorem pierwszego dnia zawodów, na godzinę przed rozpoczęciem konkursu — wpadamy na arenę obejrzeć cały parcours i „powąchać” przeszkody, co zwykle czynimy nim wsiaździemy na konia, oglądając uprzednio trasę przebiegu. Każdy z nas pozornie spokojny podchodził z wolna do pierwszej przeszkody, którą był polowy płot tzw. z włoska stacjonata. Następnie pociągnęły mnie ku sobie stojące w szeregu trzy przeszkody, jedna za drugą ustawicne w odległości ośmiu kroków. Każda z nich składała się z trzech drążków zawieszonych wysoko nad ziemią w płaszczyźnie pionowej jeden tuż pod drugim. Paskudna rzecz. Tego rodzaju wisząca pionowa przeszkoda nie posiadająca spodu, jest dość trudną pułapką dla konia. Następnie po zakręcie na przekątnej spotkałem u szczytu bardzo wąski mur, a o parę kroków za nim z podłoża

stadionu wyrastał zielony żywopłot schowany w szerokim oixerze. Na zakręcie w lewo, na krótkiej ścianie ujeżdżalni stała znowu nie bielona naturalna stacjonata, a dalej bardzo szeroka, potrójna, pochyła triplebarre o znacznej wysokości. Wreszcie bielony parkan a za nim ostatnia, będąca przeszłego roku naszą zgorą, londyńska bramka. Na każdej z przeszkód leżały cieniutkie centymetrowej grubości listewki — taktety, które za najlżejszym dotknięciem spadają, za co jeźdźcowi przy każdym wypadku strącenia zapisuje się pół punktu karnego. Strącenie całej przeszkody lub tylko jednej jej części przednimi nogami było karane czterema punktami, tylnymi — dwoma, a wyłamanie lub odmowa skoku tylko jednym punktem karnym.

Wszystkie przeszkody miały z boków odkosy zabezpieczające jeźdźca w dużej mierze przed wyłamaniem, tj. wyminięciem przeszkody przez nieposłusznego konia. Dla jeźdźca jest to pewnego rodzaju pomocą w wypadku, gdy ma trudności w odpowiednim naprowadzeniu konia na przeszkodę. Dla nas pomoc ta była raczej zbyteczna.

Wysokość przeszkód wynosiła od 140—160 cm, a na przebyciu całego przebiegu, wynoszącego nie więcej jak 400 m, przeznaczono dwie minuty czasu, tym samym szybkość przebiegu i skoku nie miała żadnego wprost znaczenia, gdyż nawet kłusując osiągało się normę czasu.

I znowu przypomniła mi się londyńska Olympia, którą tu usiłowano najdokładniej skopiować. Katalog, podział na „clasy”, przeszkody, taktety, nagrody, nawet normę czasu wprowadzono tę samą. Lecz gdy o godzinie ósmej wieczorem rozpoczęto konkurs, zabrakło angielskiej rutyny, punktualności i porządku. Techniczna organizacja okazała się znacznie gorsza. Przede wszystkim brak dziennego szczegółowego programu, według którego jeźdźcy mają z góry ustaloną kolejność wyjazdu — dawał się bardzo we znaki. Nie wiadomo było, kiedy kto ma wyjechać, kiedy siodłać konia, na kiedy jego i siebie przygotować. Stąd przy bramie prowadzącej na arenę stale panował tłok i po kilkunastu jeźdźców wyczekiwało swej

kolejki. Do porządku nie przyczyniała się też miejscowa służba przedsiębiorstwa Madison Square Garden, która w stosunku do cudzoziemskich oficerów odnosiła się nader poufale.

Każdy koń otrzymywał białą tabliczkę tekturową z numerem, którą jeździec przed wyjazdem umieszczał na swoich plecach lub zawieszał za pasem. Zamiast zawiadamiania publiczności świetlnymi lub innymi znakami ogłaszano numer jeźdźca przez tubę, co cudzoziemcowi słabo znającemu język utrudnia orientację. Karne punkty i wyniki poszczególnych jeźdźców też nie były publicznie podawane. Jednym słowem techniczna organizacja szwankowała. Za to dopisywała publiczność. Panie w wieczorowych strojach, panowie w smokingach zapełnili wszystkie łóża i droższe miejsca. Wyżej w tańszych rzędach aż pod sam dach czerniła się w zbitej ciżbie przeciętna amerykańska publiczność.

Rozpoczął się konkurs. Za każdym udanym skokiem konia zrywała się burza okłasków. Jedne subtelne, delikatne, płynące z pięknych, wypielęgowanych rączek urodziwych Amerykanek, jak pocałunki muskały twarz i ucho jeźdźca. Przygłuszały je inne mocniejsze, męskie, jak gdyby poufale klepiące jeźdźca po ramieniu. Wreszcie niesamowity gwizd galerii, oznaczający najwyższy zachwyt szarej publiczności amerykańskiej, spadał na nas przeraźliwym, końcowym akordem zadowolenia zachwyconych widzów.

Lecz wytłumacz ten, na szczęście nie stosowany w Europie, zwyczaj koniowi, któremu wydaje się, że gmach cały wali się na niego, że za chwilę stanie się coś okropnego, przed czym chciałby się schronić. Kto wie, co w takich chwilach roić się może we łbie biednego konia, występującego na małej arenie Madison Square Garden, nie przyzwyczajonego do nocnych cyrkowych występów w tego rodzaju warunkach. Wszystko może mu przyjść do głowy — tylko nie spokój i skupienie, od których w dużej mierze zależy wykonanie pewnego, bezbłędnego skoku.

A tu na każdej przeszkodzie leży złośliwa takteta, przyczajona, czekająca dotknięcia, by cicho i lekko jak piórko spły-

nać na ziemię i odbić się czernią pół punktu karnego na arkuszu sędziego. Na taką przeszkodę jadę wolno i ostrożnie, jak lis skradający się do skoku i skacze przez nią z lękiem, bojąc się jak zarazy dotknięcia taktety. Jakże inaczej zachowuje się jeździec w terenie lub na odkrytym torze na konkursie zbliżonym choć w części do warunków naturalnych. Tam panuje ruch i życie, rozmach, tempo, szybkość, podczas gdy tu kładzione na przeszkody taktety czynią jeźdźca do przesady ostrożnym, zmuszają go do wyliczania niemal każdego skoku, co można zastosować niekiedy z dużym powodzeniem, jadąc w zwolnionym tempie. A przecież najważniejszą zaletą konia jest jego szybkość posuwania się kontrolowana i regulowana przez jeźdźca.

Trzeciego dnia konkursu o godzinie szóstej rano udaliśmy się do koni, by je rozruszać na wolnej o tej porze arenie. Należało też koniecznie niektóre z nich trochę podbarować¹⁾, gdyż od dwóch dni nierozprężane tuż przed startem w konkursach, zaczęły iść nisko, lekceważąc czystość skoku. Trudna londyńska bramka znowu stawała nam kością w gardle jak złośliwa pułapka, którą konie zaczęły chesać lekceważąco.

Odnosząc w poszczególnych konkursach szereg poważnych sukcesów indywidualnych, w nieustannym napięciu zbliżaliśmy się do najbardziej emocjonującego momentu nowojorskich zawodów.

PUCHAR NARODÓW

Nadszedł wreszcie 25 listopad, wielki dzień walnej rozprawy o wojskową, najświetniejszą nagrodę sezonu — The International Military Trophy, zwaną wszędzie w Europie Pucharem Narodów. Zwycięstwo w tym zespołowym konkursie jest marzeniem każdej drużyny i wysuwa ją na pierwsze miejsce spośród wszystkich narodowości, biorących udział w za-

¹⁾ Barowanie jest to uderzenie konia po nogach specjalnym ukrytym przyrządem, w chwili gdy koń znajduje się nad przeszkodą; ma to na celu zmuszenie konia do podciągania nóg. Zwykle czyni się to bezpośrednio przed bieżnią, oddziałyując w ten sposób na pamięć zwierzęcia. Obecnie zabieg ten jest zabroniony przepisami Międzynarodowego Związku Jeździeckiego.

wodach. Każda drużyna składa się z trzech jeźdźców wojskowych i tylko trzech koni. Trudny parcours każdy zawodnik powtarza dwa razy na tym samym koniu. Najmniejsza ilość karnych punktów trzech jeźdźców danego zespołu liczona razem w obydwu nawrotach decyduje o pierwszeństwie.

Olbrzymie afisze głosiły, że wieczorem o godz. 8,50 do decydującej walki staną następujące drużyny: Stany Zjednoczone, Kanada, Francja, Belgia, Holandia, Hiszpania i Polska. Przypadający na czwartek, uroczyste obchodzony dzień Święta Dziękczynienia sprawił, że wszystkie miejsca zawczasu rozkupiono.

Dziwnym, nigdzie w Europie nie spotykanym, zwyczajem był warunek zachowania tajemnicy wyboru koni, mających startować w tym zespołowym konkursie. Każda drużyna więc do ostatniej chwili ukrywała skład swych koni, mających wystąpić w konkursie pucharowym.

Toczek i Szosland mieli zadanie ułatwione. Pierwszy wybrał doskonałego Hamleta, drugi zaś bardzo spokojnego i pewnego w skoku Redgledta.

Przez cały dzień biłem się z myślami, nie wiedząc którego z moich koni mam dosiąść. Czy łatwiejszego do prowadzenia, lecz niewytrzymałego Unigeno, czy też nieobliczalnego, bardzo trudnego, lecz za to wytrwalszego Jacka. Stan niepewności dręczył mnie aż do wieczora. Toczek zaproponował mi swego wytrawnego skoczka Faworyta, lecz ponieważ na tym koniu nigdy w życiu nie siedziałem, wydało mi się to zbyt ryzykowne.

Krótko przed rozpoczęciem konkursu poszedłem do stajni szukać natchnienia. W podziemiach Madison Square Garden było duszno i gorąco. Brak świeżego powietrza męczył nasze konie przyzwyczajone do obszernych, chłodnych stajen. Unigeno lekko spocony stał osowiały, robiąc bokami. Jacek, zmrużywszy swe krwawe ślepia, drzemał stojąc nieruchomo. Obojętnie pozwalał krążyć koło pyska natrętnej, dokuczliwej musze, którą czasem tylko usiłował złowić obwisłą ze starości dolną wargą, instynktownie kłapiąc nią raz po raz.

Wybór był wyjątkowo trudny. Unigeno, koń o ogromnej potędze skoku i wielkich możliwościach, nie był jednak w porządku z sercem, ani nie miał też odpowiedniej wytrzymałości, by pokonać czekające go w tym dniu 2 poważne przebiegi. O Jacku wiedziałem, że w czasie jazdy będzie mi chciał robić niespodzianki. Trudny do opanowania i prowadzenia jego wściekły temperament, tym bardziej rozjuszy się, gdy na arenie rozlegną się z widowni znane nam już, ogłuszające okrzyki i przeraźliwe gwizdy. Wiadomo, rogaty diabeł wyjdzie z niego niewątpliwie i Jacek, zadarłszy w górę osadzony na krótkiej szyi łeb, ponosząc znacznie „szczekać” swoim charakterystycznym zwyczajem, rwąc łku przeszkodzie.

Zdecydowany mimo wszystko na niego, poszedłem na widownię przywitać się z obecnym w loży ze swoją małżonką posłem polskim w Waszyngtonie p. Ciechanowskim i naszym konsulem generalnym w Nowym Jorku p. Gruszką oraz personelem obu wymienionych placówek.

Podzieliłem się moją decyzją z jedną z pań prosząc, by zechciała jeszcze mnie w niej upewnić. Srebrna moneta rzucona małą rączką do mej czapki potwierdziła start na Jacku. Ciężar spadł mi z serca. Byłem dostatecznie nastrojony do walki o zwycięstwo.

Tymczasem kończono ustawiać przeszkody, zmieniając je po poprzednim konkursie. Parcours podobny do pierwszego dnia: stacjonata, trzy przeszkody w szeregu na 9 kroków, mur, oxer, stacjonata, triplebarre, parkan i londyńska bramka, wszystko o znacznie poważniejszych wymiarach.

Czas było iść do koni.

Przed rozpoczęciem konkursu odbyła się prezentacja ekip. Drużyny, składające się z jeźdźców, każda z trzech, wyjeżdżały na arenę, defilując przed sędziami i publicznością, po czym kolejno każdy z członków zespołu rozpoczynał swój przebieg.

Wyjechaliśmy na arenę jako szósta z kolei drużyna. Teraz dopiero rozejrzałem się po widowni wypełnionej kilkunastotysięcznym tłumem eleganckiej publiczności. W lożach obecni ambasadorowie i reprezentanci wszystkich obcych państw. Każ-

dego z nas śledziło tysiące par oczu a wśród nich nierzadko, w polski mundur wpatrzone, rozpromienione oczy naszych rodaków, którzy Ojczyzny swej wolnej być może nie widzieli.

W najśmielszych swych marzeniach nie przewidywali oni możliwości naszego zwycięstwa. W wzroku ich widać było obawę, czy dotrzemy pola doskonałym przeciwnikom, ale czaiła się w nim także nadzieja, że może jednak uda się nam wywalczyć honorowe miejsce, godne polskiej tradycji jeździeckiej.

Pomyślałem o kraju. Daleko za oceanem czekano na pierwszą wieść, na suchą radiotelegraficzną notatkę. „Polacy na takim a takim miejscu”.

Ponad tłumem, wśród siedmiu flag jaśniała wspaniałymi kolorami biało-czerwona chorągiew. Czy będzie dzisiaj wciągnięta na maszt zwycięzców?

Po chwili zjechaliśmy z areny, a mjr Toczek na Hamlecie ruszył w szranki.

W korytarzu za areną, siedząc gotowy do startu na Jacku, nie chciałem patrzeć jak jedzie. Słyszałem tylko grzmot okłasków powtarzający się co chwilę. Zrozumiałem, że idzie mu dobrze. Gdy Toczek skończył z jedną tylko taktą, tj. połową karnego punktu — odetchnąłem. Rozpromienionego Toczka odprowadzała na korytarz burza okłasków i przeraźliwy gwizd zadowolonej widowni.

Drugi pojechał Szosland na Redgledtcie. Znowu wołałem nie patrzeć, słysząc i tym razem co chwilę przerywane, rzesiste brawa i okrzyki, aż wreszcie po chwili przy akompaniamencie przeraźliwego ryku zjeżdża z areny zadowolony Szosland, mając parcours bez błędu.

Kolej na mnie. Wjeżdżam na Jacku, trzymając „za mordę” to dzikie, rozszalałe zwierzę, które idąc na przeszkodę, wydaje z gardzieli swe niesamowite poszczekiwania. Jacek tylko patrzy, gdzie by mi tu spleść figla. Wydaje mi się, że jestem spokojny, choć uwaga moja i nerwy napięte są kolosalnie. Idąc na drugą przeszkodę, Jacek swym narowistym znanym nam sposobem, wyrwał mi się, zabierając ją przodem, co spa-

dło to na mnie ciężarem czterech punktów. Włosy stają mi na głowie, oczy pot zalewa, a tu przede mną o osiem kroków sterczy pionowy płot, tuż za nim wyrasta wysoko mur z drągiem. Reguluję momentalnie Jacka i dalej szczęśliwie kończymy obaj bez błędu.

W pierwszym nawrocie mając 4 i pół karnego punktu byliśmy lepsi od Francuzów, najgroźniejszych naszych współzawodników. Na razie trzymaliśmy się na czele.

Po nas pojechali Amerykanie, poważni, ale nie najgroźniejsi konkurenci.

Wkrótce po raz wtóry wyjechali znów Francuzi. Nie spodziewając się w pierwszej turze konkursu drugiego miejsca, nieco speszeni stracili na fantazji. Nerwy ich nie wytrzymały. Pojechali tym razem znacznie gorzej, zgarniając w sumie 23 punkty karne. Belgom też się nie powiodło — złapali masę punktów. Nie lepiej się udało Kanadzie, Holandii, Hiszpanii i Stanom Zjednoczonym. Zadanie, jak się okazało, nie było łatwe. Gdy ponownie przyszła kolej na nas, pierwszy wyjechał Toczek. Stoję i słucham. Lecz cisza. Jakieś niewyraźne okrzyki, dochodzące z areny, niepokoją mnie bardzo. Boję się wyjrzeć. Krótkie chwile ciszy świadczące o niepowodzeniu są dla mnie męką okropną. Wreszcie z areny zjeżdża Toczek czarny z rozpaczą. Nie pytam go o nic. Na twarzy jego łatwo odczytać dwa „przody”, jeden „zad” i dwie taktety. Razem 11 karnych punktów.

Następny kończy swój parcours Szosland mając 4 i 1/2 punktu.

Wjeżdżając na arenę jako trzeci, prędko zliczam nasze dotychczasowe wyniki punktowe — mamy dotąd 20 punktów karnych, a więc dużo mniej niż Francuzi. Zdaję sobie sprawę, że wystarczy jednak bym zrobił dwa „przody” i jedną taktetę, a będziemy zgubieni. Na Jacku nie jest o to tak trudno. Zbliża się decydująca chwila. Zwycięstwo lub przegrana wisi na włosku. Na widowni naprężenie niezwykle. Jacek idzie dobrze. Raz po raz próbuje się wyrwać, lecz pilnuję go jak śmiertelnego wroga. Ryk, wrzask i gwizd powtarzany za każdym sko-

kiem coraz bardziej podnieca jego chorobliwy, histeryczny temperament. Wytrzymujemy jednak jakoś w porozumieniu, mając jedno wyłamanie i jedną strąconą taktę — razem półtora karnego punktu. Zjeżdżam z areny cały mokry od wysiłku.

Mego przed chwilą śmiertelnego wroga — Jacka, którego ślepią zaczęły już znowu rzucać wariackie błyski — głaszczą po szyi jak najmilszego potulnego baranka.

Po chwili tuby megafonu ogłaszają tysięcznym widzom zwycięstwo Polski — której ekipa ma 21 $\frac{1}{2}$ karnych punktów, druga Francja — karnych punktów 28, trzecia Belgia — karnych punktów 31 i $\frac{1}{2}$, czwarta Kanada — karnych punktów 32 i $\frac{1}{2}$, piąta Holandia — karnych punktów 38, szosta Hiszpania — karnych punktów 57, siódma USA — karnych punktów 60.

Wszystkie drużyny z polską na czele wyjeżdżają na arenę. Orkiestra gra polski hymn narodowy. Publiczność wstaje z miejsc.

Jesteśmy niezwykle wzruszeni. Szalona radość i duma zawlewa serce, coś dławi w gardle.

Patrę na znajomych Polaków. Policzki ich płoną — usta uśmiechnięte, rozradowane twarze. Wołają coś ku nam, przesyłają znaki rękoma.

Chwila, której nikt z nas w życiu nie zapomni.

Wkrótce dziesiątki milionów egzemplarzy dzienników roznieście po całych Stanach Zjednoczonych wieść o zwycięstwie polskich jeźdźców.

Tłum szaleje. Oklaskom nie ma końca. Zachwycona galeria gwizdząc ogłasza mnie zupełnie.

Generał Henri T. Allen, pod którego dowództwem w czasie wojny światowej, jeden z trzech dzisiejszych naszych zwycięzców, Jacek, odbył służbę wojskową w armii okupującej Niemcy — przypina naszym koniom niebieskie wstęgi (oznaka pierwszej nagrody), a nam wręcza dla Ministerstwa Spraw

Wojskowych nagrodę honorową, ofiarowaną przez amerykański Jockey Club.

Jest to ciężka duża taca (wartości około 500 dolarów) z przymocowanymi do niej czterema podkowami najlepszych czterech koni wyścigowych, które w roku 1926 zaliczone zostały do championów Ameryki.

Ostatniego dnia zawodów nie braliśmy już udziału w konkursach. Zjawiliśmy się jednak raz jeszcze na arenie. Wszystkie drużyny konno, ustawione w jeden rząd, salutowały przy dźwiękach hymnu Stanów Zjednoczonych opuszczaną z masztu flagę, a jeden z naszych kolegów, Holender, kpt. Labouchere, władający językiem angielskim, w imieniu wszystkich zawodników dziękował prezesowi zarządu wystawy p. Bowmanowi za wspianą sportową imprezę, serdeczne przyjęcie i gościnność.

Po opuszczeniu po raz ostatni areny odetchnęliśmy nareszcie swobodnie od wielu dni, od chwili wyjazdu z Polski. Mieliśmy już za sobą szczęśliwie dla nas zakończony pierwszy występ w ojczyźnie Wuja Sama.

Zeszliśmy do koni. Tu panował tłok. Ciekawa publiczność, wśród której była liczna grupa Polonii, oglądała nasze niepokazne zwycięskie czworonogi.

Biedne zwierzęta były bodaj więcej od nas oszołomione. Wprowadzone do podziemi od chwili rozpoczęcia zawodów aż do końca nie ujrzały światła dziennego ani nie odetchnęły świeżym powietrzem. Wydechy około 200 koni, stojących w jednej hali, oraz stale funkcjonujące centralne ogrzewanie (mimo że Toczki każdy dostrzeżony kaloryfer własnoręcznie zamykał), podniosło i tak już wysoką temperaturę, czyniąc ją wprost nie do zniesienia. Konie nasze, przyzwyczajone do chłodnych i przewiewnych stajen, miały stale przyspieszony oddech, robiąc wrażenie chorych, zmęczonych zwierząt.

Niemożliwość przygotowania koni tuż przed samym konkursem, nie mogła nam wróżyć pomyślnych rezultatów. Jedynie kilkanaście kroków klusa po gładkim, wąskim korytarzu stajennym przykrytym chodnikiem, by koń nie pośliznął się,

miało służyć za całe rozprężenie. W ogóle warunki, w jakich udało się nam uzyskać wymienione sukcesy, były dla nas specjalnie trudne i nienormalne.

Nasi poczciwi luzacy: starszy szwoleżer Bieńkowski, starszy ułan Żygała i kanonier Drab, z całym poświęceniem i oddaniem opiekowali się końmi. Kładli się spać przy koniach późno w nocy niekiedy nad ranem, gdy wszystkie zabiegi i masaże naszych czworonogich towarzyszy były ukończone. Razem z nami przeżywali wrażenia i emocje. Swoją sumienną pracą przyczynili się też w dużej mierze do naszych sukcesów.

Z WIZYTĄ U UNITED STATES MILITARY ACADEMY

Korzystając z naszego pobytu w Ameryce, poseł Ciechanowski wraz z przybyłym z Warszawy p. Kotnowskim zabrał nas do miejscowości West Point, gdzie z okazji obchodu 150-lecia niepodległości Ameryki byliśmy obecni przy uroczystym wręczeniu d-cy Wojskowej Akademii — United States Military Academy, założonej na forcie budowanym przez Tadeusza Kościuszkę w roku 1784, białego w Polsce pamiątkowego medalu.

Po dwugodzinnej podróży koleją wysiedliśmy w uroczej miejscowości, na małej stacyjce u podnóża skalistej góry, gdzie oczekiwał nas ustawiony w rozwiniętym szyku szwadron kawalerii.

Zauważyliśmy fakt w Ameryce niespotykany, mianowicie na koniach z wyjątkiem d-cy szwadronu i młodszych oficerów siedzieli sami czarni (Murzyni). Było to dowodem kurtuazji i pamięci ze strony tamtejszych wojskowych władz o tym, że Kościuszko umierając cały swój majątek zapisał na wykupienie Murzynów, będących wówczas niewolnikami.

Po oddaniu honorów i sprezentowaniu broni szwadron ruszył kłusem wijącą się pod górę, stromą, asfaltową drogą. Gdy, jadąc w samochodzie w otoczeniu kilku oficerów szkoły, poprzedzani szwadronem minęliśmy na szczycie wzgórza wrota fortecy, bateria artylerii powitała nas kilkunastoma wystrzałami. Wstąpiliśmy na chwilę do mieszkania generała Steward'a

dowodzącego szkołą. W tym czasie na środku olbrzymiego, pięknego zielonego placu w długim rozwiniętym szyku ustawiły się kompanie uczniów akademii.

Po raporcie i przemówieniu odbyło się uroczyste wręczenie medalu d-cy, po czym nastąpiła defilada wychowanków szkoły, którzy w swych błękitnych płaszczach z pelerynkami i białych pasach, maszerując rozwiniętymi plutonami, wyglądali imponująco i niezwykle malowniczo na tle zieleni.

Następnie udaliśmy się do pomnika Kościuszki, stojącego opodal na założonych przez niego fortyfikacjach, gdzie złożyliśmy wieniec i uczciliśmy pamięć wielkiego Naczelnika.

Rozejrzałem się dookoła. Strone, skaliste zbocza góry panującej nad rozległą, falistą okolicą, szeroki pas leżącej na dole, wielkiej rzeki Hudson oraz fortyfikacje zbudowane przez Kościuszkę czyniły to wspaniałe wzgórze groźną, trudną do zdobycia pozycją.

Zwiedziwszy stajnię i niezwyklej rozmiarów bo 100 kroków szerokości i 400 długości — ujeżdżalnię, dającą się w razie potrzeby przedzielić suwanymi ścianami na 3 części, oraz kasyno i wspaniałą salę recepcyjną, powróciliśmy wieczorem do New Yorku, oddając się całkowicie czekającym nas konkursom.

W dniu rozgrywki o Puchar Narodów p. Ciechanowski przyjął nas w południe śniadaniem, po czym porwał nas gwałtem do swego samochodu, obwoząc przez kilka godzin po mieście. Zwiedziliśmy ciekawą, osławioną zbrodniami dzielnicę chińską, murzyńską, włoską oraz żydowską, liczącą w samym New Yorku 1 800 000 mieszkańców. Wreszcie wyniesieni błyskawicznie windą na 58 piętro najwyższego na świecie w owym czasie budynku „Woolworth Building”, mieliśmy możliwość przyjrzenia się rozmiarom największego na świecie miasta i portu — New York.

Tych parę miłych godzin, wyrwanych z denerwującej atmosfery oczekiwania i ciągłego podniecenia przedkonkursowego, spędzanych na zwiedzaniu miasta w towarzystwie niezwykle uprzejmych i serdecznych państwa Ciechanowskich,

wywarło zbawienny wpływ na nasze nadszarpnięte zawodami nerwy. Toteż wieczorem tego dnia, gdy ambasadorowie i posłowie obcych państw zjawili się w swoich lożach z góry pewni zwycięstwa Francuzów, jedni państwo Ciechanowscy czuli wraz z nami, że może być inaczej.

OSTATNIE DNI GOŚCINY

Z pozostałych po zakończeniu konkursów czterech dni, dzielących nas od chwili wyjazdu — jeden przeznaczaliśmy na wypoczynek. Musieliśmy się nareszcie wypaść. Resztę dni poświęciliśmy Polonii. Z wielu przyjęć urządzonych dla nas pragnę tu wymienić mile, wśród serdecznego nastroju spędzony wieczór w gronie Pań i Panów członków Koła Polskiego. Następnie niemniej serdecznie i gościnnie byliśmy przyjmowani przez oficerów rezerwy armii polskiej i oficerów Polaków, służących w armii Stanów Zjednoczonych.

W Domu Narodowym witała nas zebrana w liczbie z górą 1½ tysiąca osób Polonia Nowojorska. Przyjęto nas długo nie milknącymi oklaskami, hymnem amerykańskim i polskim.

Od VII gniazda Sokoła otrzymaliśmy w prezencie zegarki, a od Domu Narodowego siodła. Nie zapomniano też o naszych żołnierzach, którzy otrzymali piękne podarunki.

Chwile, jakie spędziliśmy w gronie Polonii Nowojorskiej pozostawiły w naszych sercach niezatarte wspomnienia.

W przeddzień wyjazdu na pożegnalnym śniadaniu u konsula dr Gruszki w serdecznym, wesołym nastroju spędziliśmy znowu kilka niezapomnianych godzin.

Następnego dnia o godzinie 11 staliśmy na pokładzie okrętu De Grasse żegnani raz jeszcze przez naszych rodaków.

Przykro nam było rozstawać się z ludźmi, dla których nasz przyjazd z Polski był czymś więcej aniżeli tylko manifestacją sportową. Swoją serdeczną miłością i opieką podbili nasze proste serca. W żalu rozstania przebijająca jednak radość i zadowolenie, jakie daje sumiennie wypełniony obowiązek. Jednocześnie cieszyliśmy się nadzieją, że może kiedyś zobaczymy się znowu.

Prócz odniesionych sukcesów sportowych — były też i moralne, tak w stosunku do Ameryki jak i w stosunku do przebywających w tym kraju naszych rodaków. Nasze zwycięstwo pobudziło i umocniło ich uczucia patriotyczne, podniosło ich ducha, dumę i ambicję narodową, przypominając im Ojczyznę.

Widząc nasze liche konie — Polonia amerykańska uchwaliła zebrać w najkrótszym czasie sumę 5000 dolarów na zakup dobrych koni.

Fakt ten świadczy najlepiej o jej wielkim bezinteresownym uczuciu obywatelskim i patriotycznym oraz o zrozumieniu wartości sportowej propagandy.

Polacy amerykańscy, oderwani od dalekiej swej ojczyzny, tęskniąc do niej, ze szczególnym zainteresowaniem śledzili przebieg zawodów. Nasze mundury i sukcesy poniekąd jednoczyły ich rozbieżne być może zapatrywania polityczne, wzbudzając poczucie dumy narodowej i miłości do Polski.

Wielkie zainteresowanie się całego społeczeństwa naszą tak szczęśliwie udaną pierwszą sportową wyprawą za ocean do kraju Yankesów, było zrozumiałe i słuszne.

Trzeba pamiętać, że każda godnie reprezentowana dyscyplina sportowa daje nam na arenie międzynarodowej wielkie korzyści jako jeden z najlepszych w dzisiejszej dobie i najtańszy czynnik propagandowy, świadczący o tężyznie i sile obywateli.

Tego rodzaju propaganda w żadnym kraju nie ma dla Polski tak wielkiego znaczenia jak w Anglii i w Ameryce.

Zwycięstwo polskiej drużyny jeździeckiej w Nowym Jorku było rewelacją dla amerykańskiego świata sportowego, a ten świat sportowy obejmował całe Stany Zjednoczone Ameryki Północnej od Atlantyku do Pacyfiku. Nowojorskie amerykańsko-polskie sfery finansowe wartość naszej propagandy na tamtejszym terenie obliczały w cyfrach na sumę około trzystu tysięcy dolarów, to znaczy, że tyle mniej więcej kosztowałaby podobna reklama prasowa. Wyjazd polskiej drużyny do Nowego Jorku kosztował nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych tylko t y s i ą c s t o dolarów.



Sukces nie notowany. W roku 1925 Picador zdobywa ponownie wygrany w poprzednim roku przez Jaśka puchar Grand Prix de la Ville de Nice. Stojący obok Cezar zajmuje podę mną drugie miejsce w tym konkursie.

PINEROLO I TOR DI QUINTO

TROCHĘ O PINEROLO, TOR DI QUINTO I WŁOSKIEJ SZKOLE

Przed drugą wojną światową przez wiele lat dużo mówiło się w świecie jeździeckim o słynnych włoskich szkołach w Pinerolo i Tor Di Quinto*). Historia tych dwóch uczelni jest bardzo ciekawa. Mając okazję przyjrzenia się im z bliska, pragnę podzielić się częścią mych wrażeń wyniesionych stamtąd w latach 1933 i 1934.

Szkoła w Pinerolo była dla Włochów tym samym, czym dla nas Polaków był Grudziądz — siedzibą i ważnym ośrodkiem wyszkolenia jeździecko-sportowego przy centrum wyszkolenia kawalerii. Działalność szkoły włoskiej i nazwa była też podobna — Scuola d'Aplicazione di Cavalleria. Uczono więc tam rzemiosła kawaleryjskiego. Szkoła zaś w Tor di Quinto o nazwie Scuola d'Aplicazione di Cavalleria — Distaccamento Tor di Quinto — była oddziałem Pinerolo przeznaczonym do ćwiczeń doskonalących wyłącznie w dziele jazdy konnej terenowej i sportowej.

O ile pierwsza szkoła w Pinerolo posiadała cały szereg różnych kursów, z których najważniejszym był podstawowy kurs aplikacyjny dla świeżo mianowanych podporuczników po ukończonej oficerskiej szkole w Modenie, to druga miała tylko jeden kurs tzw. dopełniający jazdy polowej — Corso Complementare di Equitazione di Campagna di Tor di Quinto, przeznaczony dla podporuczników z ukończonym kursem aplikacyjnym.

*) Obie szkoły po drugiej wojnie światowej zostały zlikwidowane.

Po tym krótkim lecz koniecznym wprowadzeniu — śpieszmy do Włoch, tam gdzie powstała pierwsza włoska szkoła i nowy naturalny system jazdy konnej.

W początkach swej egzystencji szkoła włoska stara się bezskutecznie dorównać szkołom innych państw. Brak własnych wybitnie uzdolnionych jeźdźców, instruktorów i kierowników ekwitacji (wyszkolenia jeździeckiego) — uniemożliwiły osiągnięcie wysokiego poziomu, tak że w ciągu pierwszych 40 lat szkoła włoska nie tylko, że niczym wyróżnić się nie może, lecz nie jest nawet w stanie zbliżyć się do bardzo wysokiego poziomu sławnych już wtedy, klasycznych szkół jak: Saumur we Francji, Wiedeń, Monaco lub Hanower w Niemczech.

W takim stanie rzeczy, w roku 1867 specjalna komisja, której przewodniczył ówczesny komendant szkoły w Pinerolo, pułkownik Lauzavecchia di Buri, udaje się do Wiednia z zamiarem wyszukania i zaproszenia jednego z uczniów tamtejszego, słynnego wówczas instytutu jazdy i powołania go na kierownika włoskiej ekwitacji w Pinerolo.

Wybór padł na porucznika Cezare Paderniego, który niezmordowanie aż do roku 1893, pracował dla dobra i rozwoju szkoły. Dzięki niemu włoski instytut jeździecki osiągnął wysoki poziom.

Nadmienić wypada, że, prowadząc włoską szkołę, Paderni bynajmniej nie ograniczał się tylko do jazdy maneżowej. Był on również gorącym zwolennikiem ćwiczeń w terenie i polowań konnych. Jeszcze jako kierownik ekwitacji w Pinerolo, dążył wytrwale do stworzenia specjalnego kursu jazdy terenowej. Udało mu się tego dokonać na 2 lata przed swym ustąpieniem. W roku 1891 powstaje w Tor di Quinto pod Rzymem szkoła jazdy terenowej, polowań, biegów na przełaj i wyścigów przeszkodowych, co stanowi uzupełnienie 10-miesięcznego kursu instruktorów w Pinerolo.

Jednym z najzdolniejszych uczniów Paderniego, który miał wkrótce zabłysnąć jako niezwykły talent oraz twórca nowego głośnego w świecie systemu jazdy, był porucznik Frederico Caprilli.

NAJWAŻNIEJSZE ZASOBY SZKOŁY

Z górą wiek — to okres zupełnie wystarczający by móc się solidnie zagospodarować i urządzić. Szkoła w Pinerolo minionego czasu nie zmarnowała. W czasie mojego pobytu tam, w roku 1933 szkoła była zaopatrzona w trzy kryte ujeżdżalnie, z których jedna, najnowsza im. Caprilliego o wymiarach 30 m szerokości i 70 m długości — posiadała zupełnie nowoczesne urządzenie.

Na terenie miasta znajdowały się dwa szkolne place konkursowe, całkowicie i bogato zaopatrzone we wszystko, co łączy się z wyszkoleniem jeździeckim. Jeden z nich był dokładną kopią rzymskiego stadionu hippicznego Piazza di Siena z Villi Borghese, miejsca wszystkich międzynarodowych najważniejszych spotkań na terenie Włoch.

Dalej istniało tam tzw. Campo Ostacoli — pole najprzeróżniejszych przeszkód stałych, pełne płotów, murów, stacjonat, rowów,górek i bankietów, zjazdów i karkołomnych ześlizgów.

Największym bogactwem i dorobkiem szkoły, jej perłą, pokazywaną wszystkim cudzoziemcom, odwiedzającym szkołę Pinerolo, było bez wątpienia Galoppatoio Generale Berta (od nazwiska założyciela, komendanta szkoły sprzed 30 lat) lub od pobliskiej miejscowości zwane także Galoppatoio Baudenasca.

Baudenasca jest to położony wśród winnic, ryżowych i kukurydzianych pól, szkolny obszar terenu, całkowicie ogrodzony, o obwodzie 3200 m.

Tam znajdowały się tory do galopów: piaszczysty i zielony, tor z przeszkodami do biegów na przełaj (cross-country) oraz kilkanaście zawsze gotowych tras z przeszkodami stałymi, których ilość przewyższała setkę.

Różne zjazdy, wjazdy, zeskoki i ześlizgi, mury-płoty, rowy oraz zmyślne niespodzianki czyhały na jeźdźca i konia skryte w akacyjnym lesie, pełnym krętych, wąskich ścieżyn.

W środku tego olbrzymiego terenu znajdowały się budynki gospodarcze dla obsługi stale tam mieszkającej, stajnie, dział-

ki przeznaczone dla koni wymagających specjalnego odpoczynku na trawie, szczególnie zaś dla zasłużonych czworonogich weteranów sportu jeździeckiego. Kiedyś, błąkając się po tych uroczych zakątkach, spotkałem tam starego, sławnego skoczka Trebecco, jednego z najwspanialszych włoskich koni — olimpijczyka, młodszego kolegę mego Jaśka i Picadora. Te trzy konie w latach 1923 — 1926 stanowiły czołową elitę na stadionach hippicznych Europy.

Na dużej przestrzeni granicą Galoppatoio biegnie górski strumyk, którego płytka wstęga błękitnej wody rwie szybko po kamienistym, nierównym dnie, napełniając to piękne ustroenie wiecznym szumem, radością i gwarem.

OTOCZENIE SZKOŁY

Umieszczenie szkoły w zacisznym, położonym na uboczu Pinerolo miało swoje dobre strony. Stwarzało warunki do systematycznej, spokojnej pracy.

Miasteczko poprzerzynane siecią wąskich, wspinających się uliczek i starych budynków, ciche i monotonne, przeraźliwie nudne — poza swym naturalnym pięknym położeniem — nie wabi niczym — od mapy a szczególnie od konia nie ma czym oderwać.

Główny gościniec prowadzący z Turynu wpada w senne miasto i załamawszy się kilkakrotnie mknie ku granicy francuskiej, jednym ramieniem sięgając na zachód, drugim przez Saluzzo i Cuneo biegnie wprost na południe, nad jasny brzeg Rivieri, do Ventimigli, Mentony, Monte Carlo, Nizy.

U wlotu do miasta zwracają na siebie uwagę ogromne zabudowania, mieszczące centrum wyszkolenia kawalerii, komendę, kasyno oficerskie, stajnie, koszary i krytą ujeżdżalnię. Estetyczna zabytkowa architektura tego dużego kompleksu budynków, złączonego w olbrzymi kwadrat, uwydatnia się szczególnie od wewnętrznego podwórza, czyniąc wrażenie starego olbrzymiego pałacu lub zamku, niczym nie przypominającego naszych wojskowych koszar.

Cichą nocą śpi miasto jak wymarłe. Tylko stare zegary wież kościelnych, ratusza i szkoły głośno liczą kwadranse i godziny.

Za to już wczesnym rankiem budzi się życie. Cienkim głosem setek dzwonek, przerywając senną ciszę miasteczka, główną jego ulicą drobnym, szybkim kroczkiem maszeruje w pole zbite stado owiec.

Tuż za nimi majestatycznie posuwa się gromada krów — pasterze i psy, a wszystkie te bydłatka na swój właściwy naturalny sposób, jak które może głośno Pana Boga chwali, przypominając mieszkańcom, że nocne dolce far niente skończone.

W koszarach pobudka — karmienie koni, śniadanie, siodłanie i jazda. Ruch na ujeżdżalniach i w terenie.

Po południu o piątej koniec zajęć. Kieliszek wermutu lub americano czy jakiegoś innego zabarwionego trunku, ewentualnie „espresso” — pije się w jedynym możliwym barze, gdzie o tej porze spotkać można niemal wszystkich oficerów szkoły. Czasem późnym wieczorem w dość podłej gospodzie Osterii pijemy camomillę — wywar rumianku z rumem, który świetnie działa na żołądek i sen.

Nie można powiedzieć, by miasto obfitowało w rozrywki. Były wprawdzie dwa kina, z których jedno tylko było możliwe. Drugie natomiast o specjalnie „morowym” powietrzu, ulubione miejsce spotkań tutejszych tubylców, nie zachęcało bynajmniej do odwiedzin.

Na tym kończą się chyba wszystkie mało atrakcyjne przyjemności starego grodu Pinerolo.

TURYŃ, KOŃ... I MORTADELLA

W niedzielę, kto chciał, a chętnych było wielu, jechał rozweselić duszę i popatrzeć na ruch rzeczywiście już dużego miasta — Turynu, gdzie nie można było uskarżać się na brak rozrywek i ponętnych kobiet.

Ostatnim nocnym pociągiem „szkoła” wracała do Pinerolo. by znowu przez cały tydzień nie zdradzać konia, w nim umieszczać swe tęsknoty, z nim tylko i o nim mówić, a czasem nie wiedząc... zjeść przedmiot swoich uwielbień w grubej mortadeli¹⁾.

Jeźdźcy — kawalerzyści — koniarze płci obojga! Ostrzegam was przed tą włoską wędliną którą wam na pewno podadzą na stacjach we Włoszech w tzw. cestino²⁾. Tam niestety w towarzystwie osła jest nasz przyjaciel — koń!

EKWITACJA WŁOSKA — SYSTEM NATURALNY I DAWNE KLASYCZNE SZKOŁY MANEŻOWE

Dumne Pinerolo, kolebka sławnej włoskiej szkoły, pyszni się jeszcze tym, że w jego murach przed 50 laty powstał nowy kierunek jazdy konnej, nazwany systemem naturalnym, którego twórcą był kapitan kawalerii Federicco Caprilli.

Włoska szkoła! System naturalny! Caprilli! Słyszeliśmy już te wyrazy, znane w całym jeździeckim świecie. Wiemy, że to dzisiaj już nie żadna nowość, a jednak rzecz niezupełnie u nas znana. Wiemy też, że istniały dawniej jakieś inne jeszcze szkoły — maneżowe, że miały swoich sławnych jeźdźców i instruktorów. Wiemy, że była i jest w Saumur we Francji sławna akademia jeździecka. Był głośny instytut wyższej szkoły jazdy pod Wiedniem, był Hanower w Niemczech. Był Anglik Fillis, fenomen jeździecki, długoletni instruktor i kierownik dawnych szkół jazdy w carskiej Rosji. Jednym słowem był i żyje jeszcze system maneżowy klasycznej szkoły, mimo że przed 50 laty powstał nowy włoski zwany systemem naturalnym.

Były z tego powodu swary i polemiki wśród fachowców, objające się czasem o uszy szerszego ogółu, interesującego się ekwitacją.

¹⁾ Włoska wędlina w rodzaju salami.

²⁾ Torebka żywnościowa, zawierająca zakąski, owoce i wino — sprzedawane podróżnym

Zwolennicy „starego” i „nowego” testamentu długi czas, nie mogąc się uspokoić, staczali boje na łamach fachowych pism, specjalnie poświęconych jeździectwu i konnemu sportowi.

Jeździec, chcąc konia zmusić do ruchu naprzód, naciska łydkami jego boki, a wywołując w ten sposób skurcz mięśni tylnej części jego ciała, zwanej w języku koniarzy zadem, zmusza konia do podsunęcia tylnych nóg do przednich, co zmusza je również do ruchu, dzięki któremu uzyskuje się przesunięcie w przód całego korpusu konia. Jest to tzw. popędzające działanie pomocy (łydek).

A teraz odwrotnie. Chcąc konia powstrzymać, zatrzymać lub cofnąć, napinamy trzymane w ręku wodze uczezione do żelaznego kieżna (węździdło, munsztuk), znajdującego się w pysku zwierzęcia. W ten sposób działamy hamująco przez konia na jego zad. Jest to powstrzymujące działanie pomocy (rąk).

Chcąc natomiast przesunąć konia w bok w prawą lub lewą stronę, będziemy naciskali jedną łydką ten bok konia, w którego kierunku chcemy uzyskać ruch. Nazwiemy to przesuującym działaniem pomocy (jedna łydka).

Tak krótko mówiąc, wyglądałoby mechaniczno-fizyczne działanie jeźdźca na mięśnie konia, wpływające na wszelkie poruszenia zasadnicze, przyjęte przez wszystkie szkoły i systemy. Jest to jedynym ze strony jeźdźcy czynnikiem wywołania podstawowych chodów konia tj. stępa, kłusa, galopu, czyli ruchów w przód oraz ruchów wstecznych lub bocznych.

Stara szkoła maneżowa czy klasyczna i nowy system naturalny są pod tym względem zgodne.

Jednakże tak jest tylko w teorii. Za chwilę przekonamy się, że życiowe drogi tych dwóch szkół będą musiały się nieco skłócić. Dlaczego?

Ponieważ starej szkole klasycznej nie wystarcza wywołanie samego naturalnego ruchu konia. Żąda ona od niego wielu jeszcze innych, bardzo skomplikowanych sztucznych poruszeń, tj. takich, jakich koń, będąc na swobodzie, nigdy sam nie wy-

konuje. Stara szkoła żąda dalej, aby wszystkie konie w rezultacie ostatecznego ujeżdżania przyjęły mniej więcej jednakową postawę trzymania szyi, głowy i nieustannie naprężonego zadu zarówno w ruchu jak i w bezruchu.

Stara szkoła zwraca bardzo dużą uwagę na konieczność zupełnie dokładnego, szczegółowego podciągnięcia wszystkich koni do jednego poziomu i bardzo precyzyjnych ruchów, niekoniecznie praktycznych i zbędnych w codziennej potrzebie, każąc koniowi pod jeźdźcem pracować prawie zawsze w postawie „na baczność”, maszerować niejako krokiem ćwiczebnym, paradnym.

By uzyskać wyżej opisane warunki i odpowiednio skomplikowane ruchy konia, dawna szkoła nakazuje jednocześnie stosowanie pomocy popędzającej i powstrzymującej dla uzyskania bezruchu.

Na tym jednoczesnym działaniu pomocy tak krańcowo przeciwnych sobie, opiera się nauka ujeżdżania konia metodą szkół maneżowych*).

Praca ta, chociaż dla konia wydawać się musi dziwnie niekonsekwentna i niezrozumiała, wymagająca długiego czasu szkolenia, niemniej jest wreszcie przez konia — dzięki jego fenomenalnej pamięci i posłuszeństwu — opanowana znakomicie, tak jak sobie tego życzy jeździec.

Lecz spójrzmy, co się stało z koniem zbyt długo i jednostronnie maneżowo jeżdżonym? Stał się sztucznym, nienaturalnym „paradierem”. Jego wszystkie mięśnie stale napięte bez istotnej potrzeby, po pewnym czasie tracą swoją elastyczność i zdolność łatwego rozkurczu. Koń chodzący ciągle na baczność męczy się prędko i jest mniej swobodny w swych poruszeniach. Maksymalny rozkurcz jego mięśni jest dość ograniczony i przychodzi mu z niemałą trudnością.

Szczególnie w terenie, gdzie uwaga konia musi być ciągle zwrócona na wszelkie czyhające na niego nierówności i przeszkody, gdzie koń musi swobodną, rozluźnioną i nienaprężoną

*) Maneżowa, gdyż polega na pracy przeważnie w zamkniętej przestrzeni — na ujeżdżalni (maneżu — manege).

szyją pomóc sobie w dostosowaniu ułożenia tułowia do terenu lub przeszkody, w zachowaniu i podtrzymaniu równowagi oraz w ustawieniu nóg, tam koń „maneżowy” wykazuje znaczną nieudolność. Z przyzwyczajenia dalej maszeruje on krokiem ćwiczebnym w postawie „na bacność”, mimo że jeździec nawet tego od niego nie żąda. Wiadomo, że takiej postawie teren nie tylko nie sprzyja, lecz wręcz odwrotnie — ogromnie mu ją utrudnia.

Tak było długie lata, aż w roku 1906 włoski kawalerzysta, kapitan Caprilli, doszedł do wniosku, że kilkuletni okres ujeżdżania systemem maneżowym i włożona w konia praca w gruncie rzeczy nie dają korzyści w terenie. Wartość konia „maneżowego” zaczyna się i kończy w obrębie ujeżdżalni, bądź gładkich równych placów musztry oraz parad.

Caprilli długie lata śledził zachowanie się konia we wszystkich możliwych momentach jego pracy pod jeźdźcem, szczególnie zaś w różnorodnym terenie i na przeszkodach.

Wynikiem jego doświadczeń i niebezpiecznych ryzykownych prób — jest obowiązujący, przyjęty w 1906 roku we Włoszech, naturalny system, którego podstawowe zasady proste, łatwo zrozumiałe przez konia i jeźdźcę — są następujące.

1) Nie używać jednocześnie dwóch różnych pomocy, tj. popędzającej i powstrzymującej, a więc działając łydkami, nie działać rękami (wodzami) i odwrotnie.

2) Żądając od konia jedną ręką (wodzą) kierunku, nie działać jak w systemie maneżowym, jednocześnie ręką przeciwną.

3) Żądać od konia ruchów tylko naturalnych, prostych, takich, jakimi się on posługuje sam, będąc bez jeźdźcy.

4) Żądając od konia ruchu, pozostawić mu swobodę wykonania go tak, jak mu to będzie najłatwiej i najwygodniej, nie przeszkadzając mu w tym.

5) Pozostawić koniowi zawsze swobodę w przyjęciu takiej postawy, jaka będzie dla niego najwygodniejsza i najłatwiejsza, a więc naturalna.

W tym celu jeździec powinien:

a) zapewnić koniowi możliwie największą swobodę całego tułowia szczególnie zaś szyi i głowy, utrzymując z nim lekką i stałą styczność za pomocą rąk i wodzy oraz dosiada i łydek;

b) dostosować układ swego ciała do wszystkich ruchów konia, by być z nim zawsze w zgodnym rytmie i dążeniu a przede wszystkim być zawsze gotowym do pójścia naprzód z ruchem konia, nigdy mu nie przeszkadzając;

c) jazdę na ujeżdżalni traktować jako zło konieczne i ograniczyć ją do minimum. Jeździć w terenie, skakać przez przeszkody stałe, tzn. nie spadające.

Widać z powyższego, że system naturalny jest znacznie uproszczonym sposobem szybkiego przygotowania jeźdźca i konia do właściwego celu, tj. do pokonywania różnego terenu. Do pojęć konia nie wprowadza on zamieszania, a pozostawiając mu pełną swobodę wykonania ruchu, pozwala mu na instynktowne szukanie własnej równowagi i oszczędzanie sił, których koń nie zużywa na niepotrzebne, efektowne ruchy wymagane przez trudną i bardzo skomplikowaną klasyczną szkołę maneżową.

ZWYCIĘSTWO SYSTEMU NATURALNEGO WE WŁOSZACH I JEGO ROZPOWSZECHNIENIE W INNYCH KRAJACH

Rewolucyjny system Caprilliego jak każda nowa rzecz wywołał początkowo nieufność i burzę protestów, dotknąwszy do żywego zwolenników starej szkoły we wszystkich krajach.

Jedynie Włosi, u których system ten powstał, przyjęli go bez walki i większego sprzeciwu.

W roku 1906 Caprilli zostaje powołany na kierownika (dyrektora) ekwitacji w Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Pineroło, jednak w niespełna rok ginie w tragicznym wypadku z koniem.

Włosi idą dalej po drodze wytkniętej przez swego mistrza. Od tej pory w ciągu 30 lat odnoszą oni na całym świecie wielkie sukcesy, specjalnie w zawodach skoków przez przeszkody.

dy. Ich system naturalny stał się głośny, zyskując sobie więcej zwolenników poza granicami Włoch.

Z biegiem lat prawdziwi znawcy sztuki jeździeckiej a nawet najbardziej zatwardziali „manezowcy” nie mogli odmówić nowej włoskiej szkole, jeśli chodzi o pokonywanie przeszkód i trudnego terenu, bardzo dużej wartości i bezspornej przewagi nad dawnym systemem.

Okres długoletnich, nieprzerwanych sukcesów, odnoszonych przez włoskich jeźdźców na międzynarodowych zawodach konnych w skokach przez przeszkody, w konkursach hippicznych, dał im w tej dziedzinie sportu bezapelacyjne pierwszeństwo, zwracając jednocześnie na ich szkołę oczy jeźdźców wszystkich krajów świata.

Dowodem tego jest chociażby to, że od roku 1920 do 1933 Pinerolo i Tor di Quinto gościło w swoich murach dłużej lub krócej jako uczniów, bądź obserwatorów, oficerów kawalerii następujących 22 państw: Afganistanu, Albanii, Ameryki, Anglii, Czechosłowacji, Finlandii, Holandii, Japonii, Jugosławii, Litwy, Łotwy, Meksyku, Niemiec, Paragwaju, Persji, Polski, Portugalii, Rosji (przed wojną światową), Szwajcarii, Szwecji, Turcji, Węgier.

Jeśli nie wszystkie kraje przyjęły całkowicie w tym czasie system naturalny, to w każdym razie te, które u siebie ówczesny manezowy kierunek utrzymały — jak Francja, Niemcy, Holandia, Szwecja, Węgry, Belgia, Rumunia i inne — w sporcie konnym w terenie i skokach, zdecydowały się jednak na przyjęcie systemu włoskiego, który — trzeba to przyznać — daje koniowi i jeźdźcowi bezsprzecznie wybitną przewagę nad systemami dawnych szkół.

JESIEŃ W PÓŁNOCNYCH WŁOSZECH

Do połowy listopada miasteczko grzało się w słońcu, żyjąc jeszcze ciągle w atmosferze lata.

Okryte patyną siwo-niebieskiego pyłku, dojrzewały późne gatunki ciemnych winogron, pełnych słodkiego soku.

Z przydrożnych winnic, nisko zwisały ciężkie okiście gron, dotykając niemal głów pochylonych jeźdźców, szybko przemykających klusem wzdłuż zamiejskich, gładkich dróg.

Rozpoczął się czas zbioru. Stragany, sklepy, targi zappełniły się świeżymi, słonecznymi owocami. W dużych kadziach gnieciono je brutalnie na miazgę. Czasem w dość nawet prymitywny sposób — nogami, wyciskając z nich ostatnią kroplę soku.

Podobnie jak u nas dożynki, tak w całych Włoszech po małątkach, osadach i miasteczkach obchodzono uroczyste święto winobrania — La vendemmia.

Zewnętrzne ściany zabudowań gospodarczych od strony południowej zażółciły się jaskrawym, pomarańczowym kolorem. To granoturco — kukurydza uprawiana tu w wielkiej ilości, zerwana z pnia, suszy się czerwieniejąc w promieniach przygrzewającego słońca, a zemlona jako polenta-mamałyga, będzie żywić najbiedniejszych.

Zbliżał się koniec listopada ciągle jednakowo pogodny, pozwalający na wyjazdy w teren. Nikt tu jeszcze nie myślał o zimie, tak jak się o niej nie myśli w pełni lata. Powoli zacząłem wierzyć, że całe Włochy są krajem wiecznego słońca.

PIERWSZY ŚNIEG. ŻEGNAJ PINEROLO

Raptem któregoś ranka w końcu listopada, temperatura nagle obniżyła się, a znad dachów domów i kominów miasta wyjrzały góry w śnieżnej szacie, skrzęcej się w promieniach słońca. Biały, stożkowaty szczyt Monte Viso sterczał wbity w chmury.

Grudzień przyniósł mrozy i taką masę śniegu, jakiego podobno o tej porze nie pamiętali nawet najstarsi mieszkańcy Pinerolo.

Miasto zmieniło barwy. Zima stworzyła nowe piękne obrazy, które nabierały szczególnego uroku, gdy wieczorem w czerwonym zachodzie na białe stoki gór kładły się fioletowe cienie.

Jednocześnie dla jeźdźców znacznie wcześniej niż zwykle

skończyły się przyjemne wyjazdy w teren, spacery po wznoszących się, krętych drogach, galopy po labiryntach toru Baudenasca i karkołomne zjazdy po twardych zboczach okolicznych gór.

Zaczęła się z konieczności nudna, monotonna praca w krytych ujeżdżalniach. Po 3-miesięcznym pobycie opuściłem szkołę, przenosząc się w końcu grudnia na południe, na rozległą kampanię rzymską — do Tor di Quinto.

Przed wyjazdem, w salonach kasyna szkoły odbyło się uroczyste pożegnanie mnie przez komendanta, generała Bonatiego i oficerów.

Lampka turyńskiego wermutu, wypita przy tej okazji dodała mi tyle animuszu, że odważyłem się wygłosić w języku włoskim przemówienie, dziękując panu generałowi i oficerom za gościnę, możliwość poczynienia cennych obserwacji oraz za prawdziwe koleżeńskie przyjęcie i stosunek, jakiego doznałem wśród włoskich kawalerzystów, miłych moich towarzyszy. Okrzyk *eviva l'Italia!* złączył się z gromkim toastem *eviva la Polonia!*

KONIECZNOŚĆ ROZDZIAŁU EKWITACJI „TOR DI QUINTO — WIEŻA PIĄTEJ MILI”.

Wysoka kultura rolna, wyzyskanie każdego kawałka ornej ziemi pod uprawę, winnice oraz zupełny brak z tego powodu odpowiednich terenów w Piemontcie, spowodowały rozdział szkoły.

Wydzielenie z Centrum Wyszkołenia Kawalerii w Pinerolo kursu dopełniającego jazdy polowej — *Corso Complementare di Equitazione di Campagna* i przeniesienie go pod Rzym, zostało spowodowane koniecznością dostosowania się do warunków terenowych. Należy podkreślić, że specjalny kurs jazdy polowej został zorganizowany dopiero w 68 lat po założeniu Centrum Wyszkołenia w Pinerolo, tj. pod koniec ubiegłego stulecia.

*) Nazwa miejscowości pochodzi z czasów średniowiecza od wieży, stojącej na piątej mili od murów Rzymu — stąd Tor di Quinto — wieża piątej mili.

Kiedy zdecydowano się na ten krok, mający wielkie znaczenie dla podniesienia włoskiej ekwitacji i poczęto szukać odpowiedniego terenu okazało się, że jedynym odpowiednim miejscem są okolice Rzymu, tzw. Campagna Romana, do dzisiejszego dnia leżąca odłogiem, wypasana tylko stadami bydła i owiec.

W roku 1891 rząd kupuje jeden z folwarków, leżący o 7 km od Rzymu na wyniosłym prawym brzegu Tybru w miejscowości Tor di Quinto, zakładając tam szkołę jazdy terenowej.

Na terenach leżących w dolinie Tybru urządzono doskonale pole przeznaczone do wyścigów płaskich i przeszkodowych, którego obwód wynosi 2200 metrów. Jego środek wyzyskano na urządzenie szeregu przeszkód stałych, służących do codziennego szkolenia oraz do przygotowania do biegów na przełaj — crosscountry.

Tor posiada kryte trybuny dla publiczności, stajnie dla koni szkolnych i biorących udział w sezonie wyścigowym oraz wszystkie niezbędne zabudowania i pomieszczenia dla służby stajennej. Jest to drugi kompleks budynków szkolnych, odległych o paraset metrów od komendy i właściwej szkoły, którą z daleka widać na wzgórzu.

Zabudowania szkolne, przerobione z dawnych budynków folwarcznych, leżą na jednym ze wzniesień, ciągnących się wzdłuż Tybru. Składają się one z kancelarii, małego, przytulnego kasyna z kuchnią, stajni na około 100 koni, pomieszczenia dla żołnierzy, ambulatorium z izbą opatrunkową, kuźni i spółdzielni. Obok znajduje się niewielki ćwiczebny plac odgrodzony od stromej stoku góry stacjonatą, przeciętą w połowie bramką, żywoplotem i kamiennym murem.

Tor di Quinto jest oddziałem — Distaccamento Pinerolo, przeznaczonym dla podporuczników, którzy ukończyli 9-miesięczny kurs aplikacyjny w Pinerolo. Jest to wyłącznie szkoła jazdy polowej. Na jej czele stał mój stary i dobry znajomy, major Formigli, współzawodnik z licznych międzynarodowych zawodów konnych, jeden z najwybitniejszych jeźdźców włos-

kich, obecnie generał w stanie spoczynku, a jednocześnie przewodniczący Włoskiego Związku Jeździeckiego.

Zadaniem tej szkoły było w ciągu 6 miesięcy ćwiczeń (od 1.10 do 1.4.) w terenie trudnym a nieraz niebezpiecznym, na przeszkodach tylko stałych (nieruchomych), w najszerszym możliwie zakresie zastosować praktycznie zasady wpojone w Pinerolo.

Kurs w Tor di Quinto miał u jeźdźca przez pracę na różnych przeszkodach stałych naturalnych wyrobić męską odwagę i chęć ryzyka, wolę pokonywania wszelkich niebezpieczeństw i trudności, jakie nasuwa teren. Jednym z celów było też rozwinięcie zmysłu szybkiej orientacji i decyzji w momentach, jakie powstają w jeździe na dużych chodach, w liczonym towarzystwie, w wyścigach przeszkodowych bądź w czasie polowań konnych w trudnym nieznanym terenie, pełnym poważnych przeszkód i licznych niespodzianek.

Konia zaś kurs miał przygotować do przystosowania się do różnego terenu, nauczyć zaufania do jeźdźca i własnych możliwości, wyrobić w nim dzielność, odwagę i podporządkowanie się woli jeźdźca.

DISCESSA — SCIVOLONE — ŚCIANA PŁACZU

W pobliżu na sąsiednich wzniesieniach znajduje się cały szereg trudnych przeszkód, zmuszających do skoku na zbity łeb w dół, a między innymi dwie długie discessy.

Discessa, czyli zejście, jest to stromy o nachyleniu do 45° zjazd po długim stoku góry, ze stacjonatą (przeszkodą) na skłonie, którą skoczywszy pędzi się galopem w dół na złamanie karku.

Dalej są dwa tzw. scivolone, tj. ześlizgi (od scivolare — ślizgać się). Jest to prawie pionowa, gliniasto-kamienna, twarda ściana 5 — 6 m wysokości, powstała ze ścięcia góry. Przed nią w odległości 10 metrów, na górnej, poziomej płaszczyźnie znów stoi stacjonata metrowej wysokości.

Zjazd odbywa się przez najechanie galopem od strony prze-

szkody, skok przez nią bez zatrzymania i wykonanie ześlizgu po bardzo stromej ścianie. To ćwiczenie, choć się wydaje początkowo groźne i niebezpieczne, jest naprawdę pociągające i staje się szczególnie emocjonujące, gdy się zjeżdża całą gromadą — rojem. Mimo że przeszkoda ta wygląda dość poważnie, zwłaszcza gdy się stanie na górze i spojrzy w dół, dla jeźdźcy, dopóki siedzi w siodle, nie przedstawia większej trudności.

Dawno paliłem się do tej ściany płaczu. Interesowała mnie już w ubiegłych latach, kiedy zwiedzałem Tor di Quinto. Zaledwie więc przyjechałem, pobiegłem zobaczyć, czy jest. Była i nie dawała mi spokoju, aż któregoś dnia musiałem po niej zjechać. Ogromnie to przyjemna zabawa na czterech żywych nogach, siedząc wysoko na grzbiecie konia, zjeżdżać z przychylnym tułowiem, głową w dół, jak na sankach, nie mając całkowitej pewności dobrego wylądowania.

Ściana płaczu błędnie wkrótce w oczach, gdy przejedzie się kilkakrotnie po lepszych scivolonach.

Oczywiście zdarzają się też wypadki przykre a nawet niebezpieczne. Zawsze znajdzie się kilka koni, które, pozbywszy się słodkiego ciężaru jeźdźcy korzystają radośnie z chwilowej swobody i wolności.

Gdy się „idzie na ziemię” wówczas instruktor (choć jemu też się to zdarzyć może i nie jest żadnym wstydem w takich okolicznościach rozłączyć się z koniem) spokojnie zapytuje swego ucznia zdziwiony „perche lei e andato per terra”? — dosłownie: dlaczegoś pan poszedł na ziemię? Tak, jakby „andare per terra” w tych warunkach i w ten sposób mogło być wykonane na ochotnika lub sprawić komukolwiek z jeźdźców specjalną rozkosz.

Tu muszę nadmienić, że koń włoski mało kiedy pada — chyba w tym wypadku gdy mu jeździec przeszkodzi ściąganiem wodzami. Cała rzecz w tym, by jeździec umiał utrzymać się w siodle, zachowując prawidłowy dosiad z pochylonym do przodu tułowiem, dając koniowi kompletną swobodę głowy, szyi i nóg przez zupełne oddanie wodzy.

Zesłizgi gładkie, choćby najbardziej spadziste, oczywiście niezbyt długie, nie są tak przykre jak nieznane strome zejścia, porośnięte wysoką trawą, krzakami, gdzie ani koń, ani jeździec nie widzi nieraz raptownego oberwania się terenu. Jeździec wprawdzie znajduje go za chwilę, lecz nie zawsze na koniu. W takim wypadku obaj i jeździec i koń mają dość niewesołe miny, a nierzadko skrzywieni wracają do domu.

POLOWANIA

Długie, forsowne galopy połączone z przebywaniem różnych napotkanych w terenie przeszkód przeważnie stacjonat, wałów kamiennych i strumyków — to emocje, jakich dostarczają polowania konne za psami na lisa, urządzone dwa razy w tygodniu przez Rzymskie Towarzystwo Polowań na Lisa. Jest to bez wątpienia najmilsza część programu zajęć szkoły.

Towarzystwo posiada dwie własne sfory psów ze specjalną obsługą, dostarczaną umyślnym, do tego celu przeznaczonym samochodem na miejsce zbiórki, oddalone zwykle od 20 do 35 km od Rzymu.

W wypadku większej odległości konie przewożone są pociągiem do najbliższej stacji na koszt towarzystwa. Normalnie dochodzą marszem.

Niektórzy zamożniejsi amatorzy polowań urządzają się jeszcze wygodniej, doczepiając wprost do swego osobowego auta dwukołową przyczepkę, w której mieszczą się wygodnie 2 konie i obsługa.

Sezon polowań rozpoczyna się około 15 grudnia i trwa do końca marca. Polowania odbywają się na południe i północ od Rzymu na stepach Campagna Romana w kilkunastukilometrowym pasie, przylegającym do brzegów morza.

CAMPAGNA ROMANA

Rozległy gliniasto — skalisty teren, porośły lichą trawą i gdzieniegdzie kolczastymi krzakami, pagórkowaty, pocięty

strumykami i rowami, niezalesiony charakteryzuje i utrudnia ogromna ilość przeszkód, szczególnie wałów kamiennych oraz typowych włoskich stacjonat. Są to ogrodzenia z dwóch lub trzech poziomych cienkich, lecz bardzo mocnych, drągów, wysokości do 130 cm. Takimi płotami podzielone są duże przestrzenie na cały szereg pól wypasanych bydłem i owcami.

Kultury rolnej nie widać tam nigdzie. Tylko miejscami, w jakiejś dolince, spotkać można niewielki skrawek uprawnej ziemi solidnie obsianej..... kamieniami, reszta — a raczej wszystko — leży odłogiem.

Gleba — skalista i jałowa nie nadaje się zupełnie pod uprawę. Pod koniec zimy, w drugiej połowie lutego, wysycha na kamień; trawa, chwasty i wszystko co na niej żyje, schnie, wegetując w oczekiwaniu deszczu, który, gdy nawet przyjdzie, szybko spływa w doły, nie pozostawiając po sobie prawie śladu. Nawet długotrwałe opady nie mogą na długo ożywić tej nieprzepuszczalnej, spieczonej ziemi.

Z tych właśnie względów sezon w szkole w Tor di Quinto trwa bardzo krótko, bo jedynie kilka miesięcy, niecałe pół roku. Teren szkolny i okoliczny, który jest dobry i elastyczny po dłuższych deszczach wysycha prędko i już pod koniec lutego zmienia się w twarde klepisko, uniemożliwiające stosowanie szybkich chodów konia i wykonywanie skoków, bez których Włosi tracą humor, a ich ekwitacja właściwą swoją — tak specyficzną wartość i smak.

KONKURSY SKOKÓW

Każdej niedzieli przed południem, na polu przeszkód „Campo ostacoli” na terenach Villi Borghese, w pobliżu toru konkursowego Piazza di Siena, odbywały się publiczne treningowe zawody skoków.

Urządzało je Rzymskie Towarzystwo Jazdy Konnej. Minimalne wpisowe (5 lirów) dawało prawo uczestniczenia w zawodach członkowi towarzystwa i wszystkim bez wyjątku oficerom.

Drukowane programy dnia przewidywały zawsze 3 konkursy dla różnych kategorii koni i jeźdźców. Nagrody były tylko honorowe. Zainteresowanie publiczności, która chętnie i tłumnie uczęszczała za niewielką opłatą na miejsca siedzące, a gratis na stojące, było zadziwiające.

Od znawców tego sportu, osób starszych wiekiem do młodości i dzieci — wszyscy garną się tam do konia. Liczny udział jeźdźców wojskowych i cywilnych płci obojga w różnym wieku jest dowodem ogromnego pędu do jeździectwa.

Mniejsza o to, że ten starszy pan... odbija długością strzemion od młodego Włocha, jeżdżącego całkowicie systemem naturalnym, że jazdę jego charakteryzuje za małe oddanie wodzy i zbyt skrepowana szyja, lecz jakie dążenie w ruchu z koniem, jakie zacięcie w twarzy, jaka energia i „posył”. A obok ten mały, jeden z najmłodszych, baczny obserwator konnych zawodów — jakie fachowe spojrzenie.

Czy to nie wzbudza podziwu, gdy się wspomni nasze słabe zainteresowanie się tym sportem i stworzeniem, którym radzi chlubimy się, zaznaczając przy każdej okazji, że wzrosliśmy na koniu. Czy nam nie wstyd?

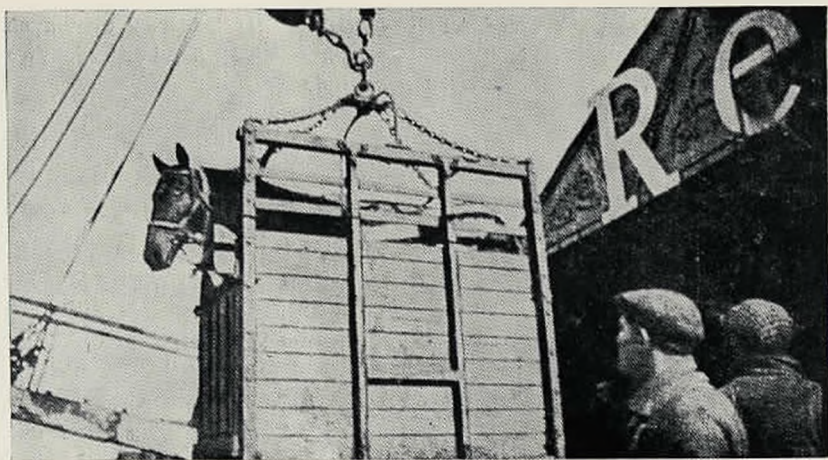
CZYŻBY ZMIERZCH?

Włosi wyrobili sobie opinię znakomitych skoczków. Ich długoletnie pierwszeństwo w dziedzinie konkursów hippicznych trwało około 30 lat. Lecz już od roku 1923 zjawili się bardzo niebezpieczni dla Włochów Polacy, a od roku 1930 pozycję włoskiego prymatu zakwestionowali Francuzi, a następnie najgroźniejsi Niemcy, którzy, posiadając dawną szkołę maneżową, zrzucili wreszcie pychę z serca i do zawodów w skokach przez przeszkody przygotowali jeźdźców i konie systemem włoskim — naturalnym.

Mając liczny i świetny materiał koński, niemniej zdolnych jeźdźców, nie gorsze zaopatrzenie i organizację szkolenia — Francuzi i Niemcy swoimi osiągnięciami zaniepokoiili Włochów bardzo poważnie.

*Tym razem startujemy z Picadorem w konkursie dla jeźdźców cywilnych
Prix de la Riviera, w którym Picador mając największy handicap zdobywa
trzecią nagrodę*





Widocznie taka podróż do przyjemności końskich nie należy...

**IGRZYSKA OLIMPIJSKIE
BERLIN — 1936**

OSTATNI UDZIAŁ POLSKICH JEŹDZCÓW W OLIMPIADZIE BERLIŃSKIEJ
w r. 1936

Słowa hymnu niemieckiego i jego melodia często rozbrzmiewały na wielkim stadionie Reichsportfeldu w Berlinie.

Szczególnie w ostatnim dniu organizatorzy XI Igrzysk Olimpijskich postanowili sprawić narodowi niemieckiemu i swemu führerowi ucztę niezwykłą. Tego dnia bowiem 120 000 osób, zappełniających stadion do ostatniego wprost miejsca, miało być świadkiem bezprzykładnego w dziejach olimpiady wykończenia i dyskwalifikowania 12 cudzoziemskich zespołów jeździeckich.

W ostatnich dwóch zespołowych konkurencjach konnych, tj. we wszechstronnej złożonej próbie konia wierzchowego w tzw. championacie oraz w konkursie skoków przez przeszkody o Nagrodę Narodów — Prix des Nations — zgromadziło się na starcie w pierwszej 17, w drugiej zaś 18 najlepszych wojskowych zespołów konnych świata.

Zmagania sportowe w jednym z bezwzględnie najpoważniejszych i najtrudniejszych działów sportu miały być zakończeniem XI Igrzysk.

*

Już od pierwszego dnia otwarcia Igrzysk Olimpijskich, dzień po dniu, niemal godzina po godzinie, szły w świat wiadomości o zwycięstwach niemieckich zawodników. Ilość złotych, srebrnych i brązowych medali zdobytych przez gospodarzy zwiększała się bezustannie. Dzienniki berlińskie w kilkukrotnych wydaniach dziennych dużym, tłustym drukiem

podawały wyniki osiągnięte przez Niemców. Wszystkie pisma niemieckie zgodnie wychwalały swoich sportowców, podkreślając z dumą przewagę ich mięśni, mózgu i tężyzny.

Niemieckie społeczeństwo zachłannie wprost czekało na każde słowo o przewadze swych zawodników, o wspaniałej niemieckiej organizacji. „Deutschland über alles” śpiewały coraz częściej podniecone, zwarte tłumy Niemców, zalegających wszystkie stadiony olimpijskie. W ostatnim dniu cały zwarty naród niemiecki czekał chciwie na jeszcze jeden triumf swych jeźdźców i koni.

*

Po morderczym przebiegu w terenie, po próbie wytrzymałości, a szczególnie po biegu na przełaj konno, który był nieprawdopodobną rzezią 17 zespołów cudzoziemskich, z których 12 zostało w tej właśnie próbie zdyskwalifikowanych — prasa niemiecka grmiała o zwycięstwie swoich jeźdźców.

Podkreślano „rzadkie bohaterstwo” porucznika Wangenheima, który przy upadku doznał złamania ręki (w istocie było to pęknięcie kości ramieniowej) i mimo to następnego dnia dokończył championat, ratując zespół niemiecki, zagrożony rozbiciem. Naturalnie nie mówiło się ani słowa, że w myśl obowiązujących przepisów porucznik Wangenheim a tym samym cały zespół niemiecki powinien był być zdyskwalifikowany — ponieważ została mu udzielona dwukrotnie obca pomoc podczas upadku w skokach przez przeszkody.

W myśl „dobrze” pojętej niemieckiej reklamy i propagandy, oczywiście nie ogłaszano w pismach niemieckich, że w próbie ujeżdżania konia na czworoboku, czyli pierwszej części składowej championatu, do którego Niemcy od czterech lat przygotowywali się bardzo starannie — Polacy zespołowo byli od nich lepsi, mimo że najpewniejszy nasz koń Ben-Hur rtm. Kuleszy w ostatnich dniach nagle zakulał i musiał być zastąpiony niezupełnie gotową do takiego wysiłku Tośką.

W sprawozdaniach niemieckich z tej części championatu (tj. z próby ujeżdżania) o polskim zespole nie było ani słowa. Natomiast podane były wyniki Niemców, z których jedynie dwaj indywidualnie byli lepsi od naszych, lecz całością zespołu byli Niemcy wtedy jeszcze za nami na 6 miejscu.

W tych warunkach nie należy się dziwić, że niemiecka prasa w mig podchwyciła i rozgłosiła po świecie niesłychane bohaterstwo por. Wagenheima.

Mogę czytelników zapewnić, że zarówno u naszych jak u jeźdźców innych narodów, tego rodzaju wypadki są dość częstym, można rzec normalnym objawem hartu i wytrzymałości. Zbyt często łamiemy sobie ręce, nogi, obojczyki i żebra, które świetnie i szybko „kleją” nam nasi lekarze, byśmy się takimi wypadkami mieli przejmować.

Tu muszę przypomnieć, o czym nie wiedział żaden z naszych sprawozdawców, że w tym morderczym przebiegu w terenie jeden z naszych jeźdźców rtm. Kawecki, jadąc na zupełnie młodym, mało doświadczonym koniu Bambino, po upadku, z pękniętymi żebrami, które mu dech zapierały — dokończył przebiegu, a po bezsennej nocy następnego dnia, zabandażowany musiał startować, by nie odpaść z ostatniej próby skoków przez przeszkody.

* * *

Cenię wyczyn niemieckiego porucznika, gdyż sam wypadek jego na swojej skórze i kościach niejedyn raz doświadczyłem. Cenię hart każdego zawodnika bez względu na narodowość, cenię jego chęci, wolę i upór zwycięstwa i nie jest moim zamiarem obniżyć, czy lekceważyć wysiłku jakiegokolwiek zawodnika, który zmierza do osiągnięcia lepszego wyniku.

Chcę jedynie zwrócić uwagę, że nasi jeźdźcy i pod tym względem nie byli gorsi od innych szumnie reklamowanych. Chciałbym, aby nasi sportowcy w przyszłości cieszyli się podobnie gorącym zrozumieniem oraz przychylną oceną społeczeństwa, podobnie jak to się dzieje w innych krajach. Chciał-

bym, aby w razie niepowodzenia, nie zniechęcano zawodników, szarpiąc im nerwy histerycznymi atakami, aby nie stawiano im również nadmiernych wymagań.

Chciałbym, żeby w przyszłości nasza publiczność przychodziła na zawody nie dlatego, żeby zobaczyć Francuza, Anglika czy Włocha. I nie dlatego tylko, że ich więcej warto było zobaczyć niż naszego jeźdźca, o którym się niestety zbyt często i niesłusznie mówiło, że nie dorównuje tamtym.

Chciałbym, by podobnie jak to się dzieje na Zachodzie i Wschodzie, Południu i Północy, w Ameryce, Anglii, Francji czy Włoszech — jednym słowem na całym świecie — interesowano się i u nas więcej swoimi zawodnikami.

W Niemczech, na Igrzyskach Olimpijskich z ostatnim zawodnikiem niemieckim schodzili ze stadionu prawie wszyscy niemieccy widzowie, nie interesując się prawie zupełnie pozostałymi cudzoziemcami. Nie jest moim zamiarem stawiać tego za wzór godny naśladowania. Stwierdzam fakt znamienny, charakteryzujący Niemców. Konkurencja bez udziału niemieckiego zawodnika, traciła dla nich wszelką wartość i nikogo już nie obchodziło, co się z tą chwilą na stadionie działo. Gdy jednak choćby i najslabszy Niemiec miał jeszcze startować, tłum niemiecki trwał w skupieniu, w zbitej karnej gromadzie, dając swemu zawodnikowi odczuć, że nie jest sam, podtrzymując jego siłę i wolę zwycięstwa.

Codzienna prasa niemiecka pisała wyłącznie o swoich zawodnikach, wynosząc ich pod niebiosa. U nas pisało się dość często hymny pochwalne o obcych, lecz mało, nieprzychylnie, a nieraz dokuczliwie o swoich.

Takie refleksje ogarniały mnie jako widza i uczestnika, gdy obserwowałem Igrzyska Olimpijskie w Berlinie i gdy przeglądałem codzienną niemiecką prasę.

* * *

Zazdrościłem trochę Niemcom, zastanawiałem się nad znaczeniem i efektem propagandy, reklamy itp. dekoracji, choć

nie zachwycalem się oczywiście środkami, jakimi dążyli do celu.

Wszeczhronny konkurs konia wierczhowego, wyniki tej próby, zdyskwalifikowanie 12 zagranicznych zespolów w biegu na przełaj, obfitującym na przestrzeni 8 km w 35 b. ciężkich, niebezpiecznych przeszkód rozrzuconych w trudnym terenie, fatalna pułapka w postaci naturalnej przeszkody — stawku o niewiadomej dla „gości” głębini i profilu dna, do którego trzeba było wskoczyć przez niewielką, na brzegu stojącą przeszkodę, tajemnicze miejsce, w którym najlepiej było to wykonać, by nie utonąć wraz z koniem (co nie wszystkim zawodnikom jednakowo było wiadome), jak również kilka przeszkód szczególnie nr 11, 12 i 13 w konkursie skoków o Nagrodę Narodów — wszystko to nasuwało przypuszczenie, że zdobycie przez gospodarzy w najcięższych konkurencjach sportu konnego złotych medali nie było dla jeźdźców niemieckich tak ścisłą tajemnicą, jak dla zawodników innych narodowości.

Nikt na przykład z zagranicznych jeźdźców nie wiedział o tym, że na czwartą przeszkodę, tj. stawek, na którym było tyle wypadków, należy najechać z lewego skraju niskiej barier, ustawionej przy brzegu wody, gdzie było 1—1½ metra płyciej, co zapewniało koniowi łatwiejsze lądowanie.

Wszyscy nieświadomi tego zagraniczni zawodnicy, skacząc normalnie z najazdu na środek przeszkody, wpadali w głębię sięgającą niemal do bioder jeźdźca znajdującego się na koniu i wraz z nim przewracali się w wodzie. Dawalo to od 40—80 punktów karnych. Zresztą sędzia przy tej przeszkodzie nie był w stanie dokładnie określić, czy koń, który wraz z jeźdźcem schował się pod wodę, upadł tam, czy jeździec spadł z konia, czy też koń się tylko potknął nie przewracając się. Przeważnie liczono więc na wszelki wypadek największą ilość punktów karnych tj. 80.

Spośród 53 zawodników jedynie 5 jeźdźców przeszło stawek bez błędu.

Bieg na przełaj był mordownią, fatalnie zdradliwą dla wszystkich cudzoziemców.

Nasi trzej jeźdźcy — Kawecki, Kulesza i Roycewicz, mimo kilkakrotnych upadków, dzięki swej umiejętności jazdy w terenie i dobrze przygotowanym koniom oraz dzięki energii i zaciekłości, mimo upadków i bolesnych obrażeń — wyszli z tej ogniowej próby nadszpiewanie dobrze, kończąc ją bez szwanku dla koni.

Incydent z rotmistrzem Roycewiczem, którego sędzia na przeszkodzie 20 w biegu na przełaj cofnął bezprawnie z powrotem do przeszkody 10 (gdzie jakoby jeździec nie objechał wskaźnika), każąc mu tym samym nadrabiać całe 5 km, został o tyle pomyślnie zlikwidowany, że niesłusznie skreślonego z tablicy wyników rtm. Roycewicza na Arlekinie — jako początkowo zdyskwalifikowanego — ujrzeliśmy ku naszej wielkiej radości, galopującego przez ostatnie przeszkody i kończącego bieg w doskonałej formie.

W chwilę później, po wyjaśnieniach, udzielonych nam przez rtm. Roycewicza i na skutek słusznego naszego protestu, ukazał się jego numer na tablicy orientacyjnej, wskazującej nielicznych „żyjących” zawodników. Tym samym cały nasz zespół, choć mocno pokrzywdzony brakiem punktów dodatkowych za nadróbki rtm. Roycewicza, których mu sędziowie przyznać nie chcieli, (mimo kilku dodatkowych kilometrów) — znalazł się w komplecie na 3 miejscu z sumą punktów przeszło 800, między czterema spośród 17 zespołów, tj. za Niemcami, mającymi ponad 600 punktów, Bułgarią ponad 700 punktów, a przed Anglią mającą ponad 2000 punktów.

Następnego dnia w konkursie skoków — ostatniej próbie championatu, Bułgarzy, mający dotąd drugie miejsce, odpadli zupełnie na skutek omyłki kolejności brania przeszkód przez jednego z ich jeźdźców. Niemcy utrzymują się ciągle na pierwszym miejscu, mimo że por. Wagenheim wywraca się z koniem i po raz wtóry zostaje mu w tej próbie udzielona obca pomoc.

Ani będący za nami Anglicy, ani też my nie wykorzystujemy prawa domagania się dyskwalifikacji zespołu niemieckiego, by tym samym bez wysiłku zająć pierwsze miejsce i zdobyć złoty medal, nieprzewidzianie wysuwający się z rąk Niemców.

Tymczasem nasi jeźdźcy kończą próbę skoków z małym błędem rtm. Kaweckiego, który na zakręcie niepotrzebnie objechał od zewnątrz wskaźnik, nie mający absolutnie nic wspólnego z fragmentem tej linii przebiegu. Jeździec w ten sposób nadłożył kilka metrów, sam siebie w myśl istniejących przepisów, automatycznie karząc. Jednak sędziowie po krótkiej naradzie postanowili policzyć to za błąd w przebiegu (podobnie jak za wolte), zapisując jeźdźcowi 20 punktów karnych. Ten wynik nic u nas nie zmienia. W rezultacie utrzymujemy się na drugim miejscu, Anglicy na trzecim.

Szesnastego sierpnia około południa ogłoszono oficjalnie wyniki: Niemcy, Polską i Anglia. Tak zakończyła się nasza walka o zdobycie srebrnego medalu we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego.

W konkursie skoków pod nazwą Nagroda Narodów — Prix des Nations, wystawiliśmy zespół koni najmocniejszy na jaki Polska wówczas mogła się zdobyć. Poszedł więc: Zbieg pod rtm. Sokołowskim, Dunkan pod por. Komorowskim i Warszawianka pod swym właścicielem por. Gutowskim. Konie były w swej szczytowej formie i należytej kondycji, zdrowe i świeże. Tak dalece były w porządku, że mogliśmy śmiało liczyć na jedno z trzech pierwszych miejsc zespołowych oraz na jedną indywidualną nagrodę, na którą miał największe szanse Zbieg pod rtm. Sokołowskim.

Niestety. Nasze nadzieje prysły tak samo, jak nie spełniły się tego dnia nadzieje Włochów, Belgów, Anglików, Amerykanów, Szwedów, Norwegów, Czechów, Duńczyków, Rumunów, Węgrów i Turków. Zostaliśmy zdyskwalifikowani w godnym towarzystwie tych pierwszorzędných zespołów.

Stadion najeżony był dwudziestoma bardzo ciężkimi przeszkodami o wymiarach od 140 do 160 cm wysokości i 5 m

szerokości. Niektóre z nich stanowiły niezwykle chytrą kombinację kilku przeszkód, stojących w jednym szeregu. Jeździec i koń mieli do pokonania w przebiegu trzykrotny szereg, każdy złożony z trzech przeszkód skombinowanych w całość, a wymagających bardzo poważnego wysiłku konia i jeźdźca. Jeden z nich należało przebyć w obie strony. Prócz tego trzeba było pokonać dwukrotnie szereg skombinowany z dwóch przeszkód. Z ilości dwudziestu rozstawionych przeszkód zaledwie siedem było oddzielnych, resztę zaś tj. 13 połączono w szeregi.

Najcięższym fragmentem na trasie przebiegu był szereg z przeszkód pod nr 11, 12, 13. Jedenastą przeszkodę stanowiło oparkanie z poziomych cienkich dragów brzoźowych wysokości 150 cm. Za nim w odległości 7 metrów stała przeszkoda nr 12 — żywopłot z parkanem o dragach poziomych koloru brunatnego, wysokości 140 cm, za którym urządzono głęboki zarośnięty rów o stromych brzegach, szerokości 2,5 m. Dalej w odległości jedenastu metrów stała przeszkoda 13 o profilu podobnym do poprzedniej, lecz ustawionym w odwrotnym porządku tj. najpierw rów, a za nim tuż płot wysokości 140 cm. Boki tych trzech przeszkód zagrodzono całkowicie odkosami tak, że w razie odmowy lub zatrzymania się konia wewnątrz nie można go było cofnąć poza linię poprzedniej przeszkody, by wg ówczesnych przepisów móc ponownie najechać, dając koniowi tyle rozpędu, ile tego do skoku rozmiary przeszkody wymagały.

Dlatego też nienaturalnie, sztucznie wprost pomyślany przebieg, z dużą ilością karnych punktów przeszła w całości tylko bardzo nieliczna ilość tych zespołów, których jeźdźcy potrafili swe konie tak nagazować, by wyżej opisane szeregi pokonać niejako jednym tchem. Zatrzymanie się konia wewnątrz spowodowane za wolnym najazdem lub złapaniem przez konia między nogi dragą poprzedniej przeszkody, choćby przez jednego tylko jeźdźcę — groziło z góry powtórzeniem jeszcze dwukrotnym tego ciężkiego błędu, a tym samym dyskwalifikacją całego zespołu.

Nie uniknęły tego nie odmawiające nigdy skoku Warszawa i Zbieg. Oba te wspaniałe konie, idąc bezbłędnie, utknęły w kombinowanym szeregu między 12 a 13 przeszkodą, sprawiając nam bolesny zawód. Jedyne Dunkan pod por. Komorowskim, mając znaczną ilość punktów karnych, kończy w całości morderczy przebieg olimpijskich skoków.

Zemściło się tutaj na nas zbyt skromne doświadczenie nie tyle koni, ile naszych dwóch stosunkowo młodych, mało otrzaskanych z tak ogromnymi trudnościami jeźdźców — Gutowskiego i Sokołowskiego. Żaden z wymienionych niestety nie startował przedtem w prawdziwie poważnych zawodach i w konkurencji międzynarodowej poza własnym krajem w Warszawie. Ich udanych startów w Rydze i w Tallinie, gdzie Polacy nawet przy znacznie słabszej obsadzie, z mało groźnymi przeciwnikami mieli wprost druzgocącą przewagę, nie można było zaliczać do kategorii międzynarodowej klasy zawodów konnych, rozgrywanych wówczas na zachodzie czy południu Europy.

Gdy zobaczyłem jednego z najpewniejszych i najbardziej rutynowanych wielkich skoczków świata, włoskiego Nasello pod swoim właścicielem, znanym nam również z warszawskiego toru, kpt. Filipponim, zdyskwalifikowanego na skutek trzykrotnej odmowy skoku na przeszkodach między 11 a 13 oraz kilkanaście wspaniałych zwierząt pod najlepszymi jeźdźcami w podobnych sytuacjach — wielki ciężar, jaki mi leżał na sercu, stał się nieco mniejszy.

Jednocześnie było mi żal i smutno, że na igrzyskach konnych XI Olimpiady, na oczach widzów i przedstawicieli całego świata, dokonano rzezi tylu świetnych konnych zespołów i że popełniono niewybaczalne błędy.

* * *

Podkreślając bezstronnie wzorową organizację i punktualny, niemal co do minuty zgodny z przewidzianym programem przebieg poszczególnych konkurencji tej olbrzymiej imprezy, trudno było nie dostrzec niesmacznych zgrzytów. Jeśli chodzi

o dwie próby z zakresu jeździectwa — wszechstronny konkurs konia wierzchowego i konkurs skoków przez przeszkody — to wśród uczestników, widzów i obserwatorów obcych narodowości panowało ciche, dyplomatycznie skrywane oburzenie. Niemcy jako organizatorzy postarali się, by w ramach ustalonych regulaminem olimpijskim warunków, dotyczących długości trasy, rodzaju przeszkód, ich ilości i rozmiarów oraz czasu, w jakim poszczególne próby miały być wykonane, stworzyć tak wygórowane utrudnienia i niespodzianki, że w rezultacie spośród 17 pierwszorzędných zespołów jeździeckich świata, 12 zostało na skutek tych właśnie szczególnych warunków zdyskwalifikowanych. Oczywiście wywołało to wśród zagranicznych jeźdźców i kierownictwa ogólne rozgoryczenie. Nie dlatego, że gospodarzom w obu konkurencjach nadzwyczajnie się powiodło, lecz że nie wszystko było w porządku. I tak, w szampionacie konia — wszechstronny konkurs konia wierzchowego — zwycięstwo niemieckie nie było zupełnie fair, ponieważ jednemu z ich zawodników udzielono w czasie przebiegu dwukrotnie obcej pomocy, co w myśl przepisów międzynarodowych jest niedopuszczalne pod groźbą dyskwalifikacji.

Inny niemiły incydent miał miejsce następnego dnia. Po zakończeniu całości wszechstronnego konkursu konia wierzchowego i po ogłoszeniu rezultatu oraz rozdaniu nagród zakwestionowano polskiemu zespołowi jeździeckiemu uczciwie, w bardzo ciężkich warunkach, wywalczoną drugą zespołową nagrodę i srebrny medal. Odbiło się to wówczas głośnym echem w naszej i zagranicznej prasie. Dopiero na skutek odwołania się od tej krzywdzającej decyzji do olimpijskiego „Jury d'appel” przez Polski Związek Jeździecki, skierowanego do najwyższej instancji — Kongresu Międzynarodowego Związku Jeździeckiego w Paryżu, dokąd w tej sprawie wydelegowano z kraju całą komisję — parę miesięcy później po rozpatrzeniu ponownym okoliczności założonego protestu — przyznano Polsce z powrotem i ostatecznie, zdobyty zespołowo srebrny medal olimpijski.

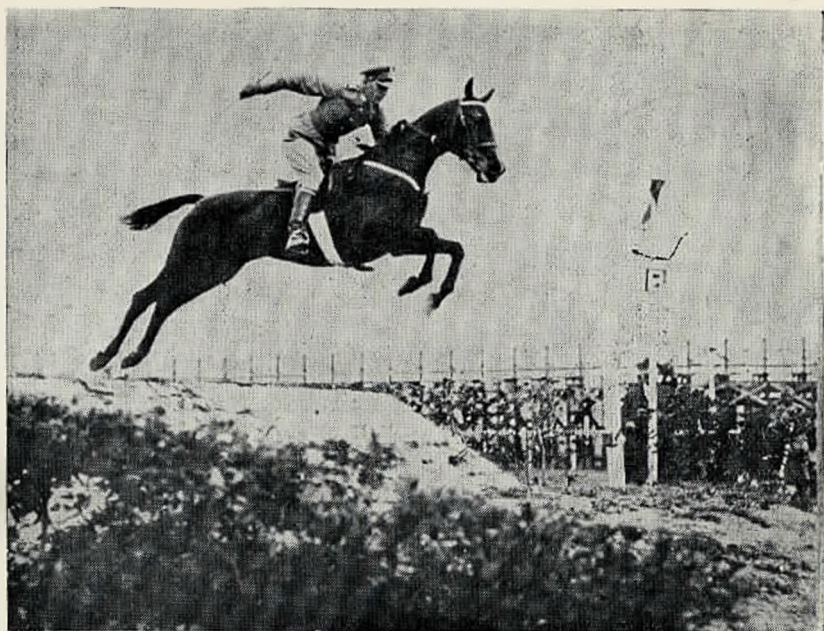
Tyle o incydentach wynikłych w czasie jeździeckich igrzysk olimpijskich w Berlinie w roku 1936, w których ostatni raz braliśmy udział.

Zamykano je z wielką niemiecką pompą oraz dekoracją o niespotykanym znaczeniu propagandowym. Późnym wieczorem, tonęły w mroku mury olbrzymiego stadionu Reichsportfeldu. Wśród dekoracji, barw i cieni, przy nieustannym śpiewie hymnu niemieckiego, przy huku armatnich salw, w świetle oślepiających reflektorów, skoncentrowanych na płycie stadionu, w zbitej ciżbie ponad stutysięcznego ludzkiego mrowia — stanęły przy swoim oszalałym führerze, bałwochwalczo mu oddane jego karne, wyjące „uber alles”, brutalne oddziały.

Zgasł przyniesiony z dalekiego Olimpu znicz. Z największego masztu spłynęła na niemiecką ziemię biała flaga olimpijska, symbol szlachetnej walki o rozwój fizyczny i umysłowy ludzkości pięciu braterskich części świata.

Nie wciągnięto jej na maszt olimpijski w 1940 roku w stolicy dalekiej Japonii. Rozpętana przez faszyzm wojna światowa zniszczyła setki istnień ludzkich i wieloletni dorobek wielu narodów, przecięła pasmo życia wielu dzielnych ludzi, przerwała na długie lata wspaniałą ideę igrzysk olimpijskich, które wznowione zostały dopiero w 1948 roku.

Kiedyż wreszcie stanie się rzeczywistością złudna dotąd idea wspólnoty wolnych narodów świata, wyrażona w pięciu splecionych kołach olimpijskich? Zwróćmy baczną uwagę na organizujący się nowy stadion wojny. Niech już nigdy nie będzie przerw w najwspanialszych, pokojowych, olimpijskich igrzyskach świata.



Jasiek w zeskoku z bankietu — Nicea 1924

W roku 1924 zdobywamy z Jaśkiem puchar w konkursie *Grand Prix de la Ville de Nice*

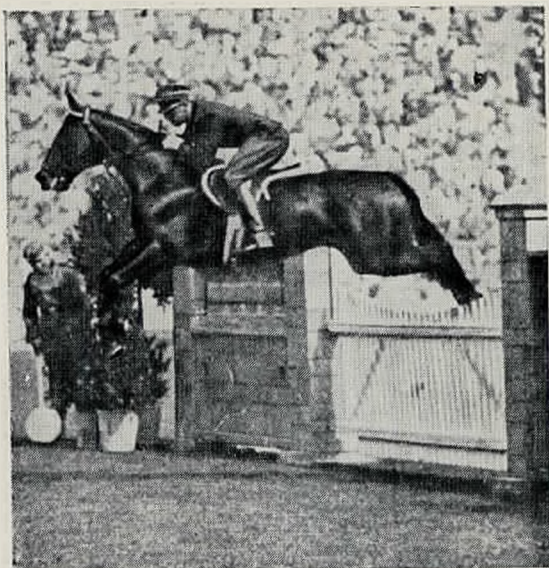




Rotmistrz Kawecki na Bambino



Ekipa jeźdźców polskich w składzie Królikiewicz, Toczek i Szosland przed halą Madison Square Garden w Nowym Jorku



*Rotmistrz Kulesza
na Toście*



*Rotmistrz Rycewicz
na Arlekinie III*